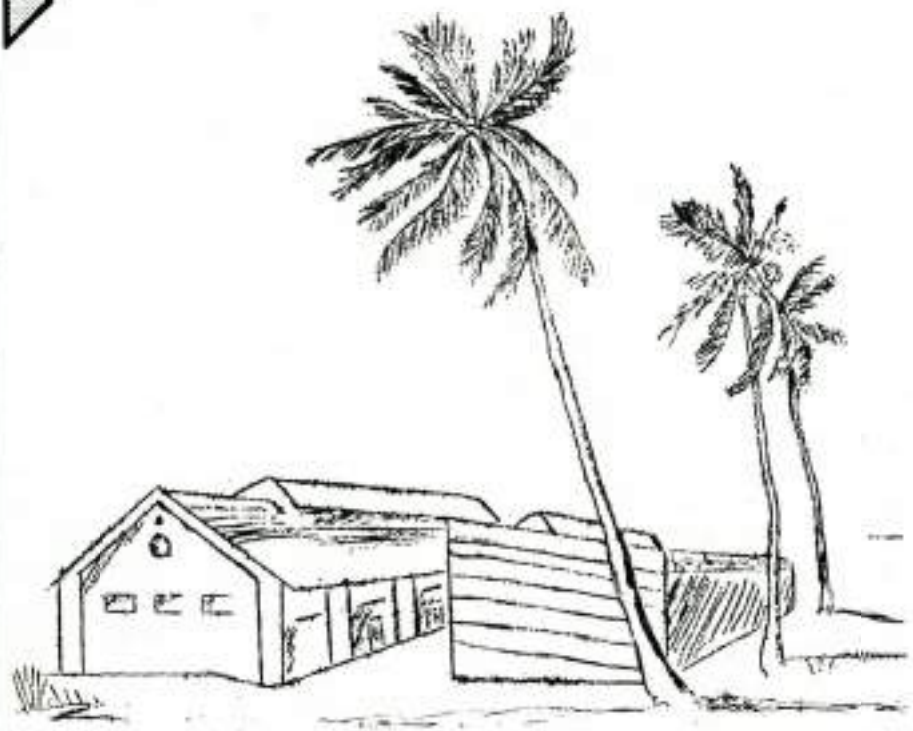
Hm. Zdzisława Wójcik

Afryka lat czterdziestych

we wspomnieniach

instruktorki harcerskiej



WARSZAWA 1997
Nakładem Koła Harcerek i Harcerzy z Lat Dawnych
w Londynie

Jak zostałam Komendantką Harcerstwa Polskiego w Afryce.

W lipcu 1942 r. wyjechałam z Archangielska wraz z innymi pracownikami Delegatury Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej Emigracyjnego Rządu Rzeczpospolitej Polskiej w tym mieście (1*) (delegat rtm.Józef Gruja, zastępca delegata - inż. Władysław Waldemar Kuczyński, p. Witkowska i p. Pytlak - pracownicy). Odbyło się to w ramach akcji opuszczania Związku Radzieckiego przez Armię Polską pod dowództwem generała Władysława Andersa, rodziny wojskowych i sierocińce polskie. Droga naszej grupy prowadziła przez silnie w tym czasie bombardowaną z niemieckich samolotów Moskwę i przez Kujbyszew, aktualną wtedy siedzibę władzy radzieckiej oraz Ambasady Polskiej w ZSRR. Ambasadorem naszym został wtedy właśnie p. Tadeusz Romer, a dotychczasowy ambasador, Stanisław Kot, wyjeżdżał poza ZSRR. Po wyrobieniu sobie polskich paszportów ruszyliśmy po kilku dniach w dalszą drogę, też koleją przez Taszkent, Samarkandę i Aszchabad do perskiej granicy.

Przekroczyliśmy ją 5 sierpnia 1942 r. - w przeciwieństwie do wielkich transportów wojska i ludności cywilnej - nie ma Morzu Kaspijskim, lecz w górach między punktami granicznymi Gaudan i Kuczan. Z Kuczanu za resztę pieniędzy jakie zostały z Archangielska, dojechaliśmy wynajętym samochodem do Meschhedu w Iranie (dawna Persja).

Meszhed był pierwszym naszym miejscem pobytu na ziemi perskiej, podobnie jak dla części transportów Polaków wychodzących z ZSRR - szczególnie sierocińców. Wojsko i większość ludności cywilnej opuszczała ZSRR statkami z Krasnowodzka przez Morze Kaspijskie do Pahlevi w Iranie. Największe wrażenie sprawił na mnie tamtejszy słynny meczet, cały wyłożony zwierciadłami, wyglądający jak wnętrze ogromnego kryształu z grobowcem jakiegoś proroka muzułmańskiego po środku, pełen pielgrzymek tłumnie odwiedzających go półnagich derwiszów. Najpiękniejsze były jednak bramy prowadzące do licznych dziedzińców otaczających meczet, wykładane mozaiką, której tło było

bladokremowe, a desenie z misternych gałązek i kwiatów - barwy zielonej i fioletowej.

Interesy obywateli polskich reprezentowali w tym mieście konsul RP p. Lisiecki z Poznania, który był także przedstawicielem Polskiego Czerwonego Krzyża. Zgłosiłam się tam do niego natychmiast z zamiarem podjęcia pracy. Chodziło mi o wzięcie udziału w akcji łączenia rodzin, niezwykle ważnej w tej wojennej sytuacji Polaków. Jako pierwsze zadanie powierzono mi opiekę nad grupą polskich dzieci pogubionych w drodze ze specposiołków do miejsc koncentracji wojska polskiego i rodzin wojskowych. Trzeba je było dowieźć do Teheranu, do dziecięcego obozu. Było ich wtedy w Meszhedzie ponad dwadzieścia, w wieku od 5 do 12 lub 13 lat. Na ogół były one słabe, wycieńczone , płaczące, wymagające troskliwej opieki.

Konsul organizuje tę ekspedycję. Ciężarówka z plandeką, na spodzie trochę materacy, na nich dzieci płaczące i wymiotujące od wstrząsów. Ponadto trzy skrzynki z owocami i czymś do picia; na skrzynce z jabłkami obrzeżonej wianuszkiem gwoździ po odbitym wieku - ja jako opieka nad dziećmi. W szoferce obok kierowcy drugi mężczyzna, uzbrojony w karabin. Reszta konwoju to druga ciężarówka z dorosłymi - w tym moi koledzy z archangielskiej delegatury, dużo miejsca, czysto, spokojnie. W ciągu owej trzy doby trwającej podróży przez dzikie góry i przepaście tylko jeden z tych ludzi , nowo poznany działacz PSL-u, Franek Król, zastąpił mnie na kilka godzin w dyżurowaniu przy dzieciach, abym mogła nieco odpocząć. Trzeci wehikuł, mniejszy, coś jak nasze nysy, wiózł komendanta wyprawy z dwoma rewolwerami, pielęgniarkę, pełniącą raczej funkcję lekarza interweniującego w sprawach szczególnie ostrych, oraz dwu uzbrojonych w karabiny Persów. Wiadomo, góry są niebezpieczne. Ponadto wiózł żywność na drogę - musieliśmy być samowystarczalni.

Jazda przez spalone słońcem prawie nagie góry o rzadko rozrzuconych oazach z pióropuszami palm daktylowych w kotlinkach - była przerażająca. Persowie prowadzą brawurowo, brezentowy dach odchyla się w pędzie i odsłania przepaście. Dzieci krzyczą, wymiotują. Na szczęście były nocne przerwy. Noce

upalne, duszne, spędzone w przydrożnych zajazdach lub, z braku miejsca, w ogrodach na ławkach i w znacznie rozluźnionych już ciężarówkach. Uzbrojona straż czuwa.

W Teheranie odwożę dzieci do Polskiego Obozu Dziecięcego, pięknie położonego w ogrodach za miastem, i oddaję się do dyspozycji kierownictwa obozu. Oni jednak mają już personel skompletowany. Pozostaje mi wracać do Meszhedu - nie wiadomo czym i za co - i brać następny podobny transport dzieci. Odszukuję więc swoich z Archangielska; są w mieście, instaluję się obok nich w hotelu - mają już pieniądze, nawet i dla mnie... Zwiedzamy więc na razie Teheran. Nie zainteresował mię on jednak tak bardzo jak Meszhed; może najwięcej chodzące po ulicach miasta wielbłądy i osły. Ale to pewnie dlatego, że w Teheranie najważniejsze wydawały mię nam polskie obozy uchodźcze. Było ich kilka (na pewno cztery, plus obóz dziecięcy, ale może było ich więcej). Były wielkie, po kilka i więcej tysięcy osób każdy. W każdym z obozów istotną rolę odgrywał szpital. Chorych, zwłaszcza dzieci, było bardzo dużo. Wiele osób, pomimo wysiłków lekarzy i pielęgniarek, zmarło jednak z wycieńczenia po trudach ich tułaczki przez ogromne przestrzenie Związku Radzieckiego. W obozach tych podejmowano pierwsze próby zorganizowania nauki dla dzieci, które straciły kilka lat z nauki szkolnej. Większość mieszkańców obozów to były kobiety z dziećmi i dziewczęta. Pełnych rodzin było mało. Znalezienie w nich kogoś z bliskich było niezmiernie trudne, czasem niemożliwe. Za to nieoczekiwane spotkania trafiały się niemal każdemu. Raz inż. Kuczyński z naszej archangielskie grupy zabrał mnie do kawiarni na koncert zorganizowany na jakieś polskie potrzeby. Śpiewała Hanka Ordonówna w ogromnym kapeluszu. Śpiewała nasze żołnierskie i ludowe piosenki. Tylko ten jeden raz w życiu widziałam ją i słyszałam bez pośrednictwa radia czy płyt. Herbatę, (serwowaną w cenie biletu) podała nam młoda blondyneczka o smutnej szarożółtej twarzy. Ta twarz przyciągnęła mnie jak magnes, a ona spytała: "Czy Pani jest z gimnazjum gen. Zamoyskiej z Poznania ?" I już wiedziałam - Hanka Korzeniewska, młodsza koleżanka ze szkoły i drużyny harcerskiej (stopień ochotniczki nadawałam jej osobiście). Z jej starszą siostrą Olą

przyjaźniłam się bardzo. Hanka opowiedziała mi wtedy o tragicznych losach swojej rodziny. Po kolei umierali wszyscy; nawet najmłodszy brat Jurek dowieziony przez nią do Krasnowodzka , zmarł przed wejściem na statek. Do Teheranu dojechała już sama. (2*)

Kiedyś indziej na zatłoczonej ulicy Teheranu spotkałam Krysię Mariańską z Akademickiego Koła Harcerskiego przy Uniwersytecie Poznańskim (AKH), zwanego powszechnie Mariawitką. Wkrótce jednak rozdzielił nas nurt odmiennych własnych spraw i obowiązków, które nas uniosły w różne strony. Dopiero niedawno dowiedziałam się z jej książki "Ja, Kostek i wojna" że była już wtedy od dawna mężatką i że straciła pierwsze dziecko.

Spotykało się też w teherańskim tłumie ludzi, z którymi los zetknął nas na różnych odcinkach drogi w tę lub tamtą stronę - i prędko rozdzielił ponownie w tej wielokierunkowej wojennej tułaczce Polaków. Tak, między innymi, spotkałam p. Żelazną, towarzyszkę z wagonu w pierwszych dniach naszej wędrówki na wschód. Państwo Żelaźni należeli do nielicznych pełnych rodzin: ojciec, matka i dwoje dzieci - patrzyliśmy na nich jak na obrazek z bajki. Wtedy p. Żelazny był już oczywiście w wojsku, a jego żona troszczyła się o dzieci, które przestały już być całkiem malutkie.

Po paru dniach okazało się, że po raz pierwszy w życiu stałam się przedmiotem zainteresowania polskich władz, a raczej tzw. czynników miarodajnych. Otóż profesor Stanisław Kot, były ambasador Polski w Moskwie, który był już wtedy w Teheranie, wyłowił za sprawozdania naszego archangielskiego delegata, kpt. Grui, moje nazwisko, choć pospolite, ale znane mu jako nazwisko mojego ojca i mojej siostry.

Profesor Kot urzędował wtedy w swoisty sposób w budynku od tyłu, bo od strony parku. Z frontu urzędował poseł Karol Bader, pełniący funkcje wypływające z tego stanowiska. Prof. Kot był Ministrem Pełnomocnym na Wschód Emigracyjnego Rządu RP w Londynie. Załatwiane przez niego sprawy wykraczały daleko poza perskie granice i były najróżniejszego rodzaju - od dużych do

maleńkich, od politycznych przez organizacyjne o dużym zakresie, do opiekuńczych i oświatowych - aż trudno ogarnąć wszystkie.

Był to człowiek o niemal "absolutnej pamięci". Jako historyk wychowania i ojciec dwu córek należących do harcerstwa, znał tę organizację doskonale i wiele wiedział o instruktorach harcerskich, włącznie z ich imionami i nazwiskami, zwłaszcza jeśli chodzi o tych, którzy pracowali w starszym harcerstwie. W ówczesnej trudnej sytuacji uchodźstwa polskiego postawił on właśnie na harcerstwo jako na siłę wychowawczą i planowo szukał instruktorów harcerskich, uruchamiając całe swoje przedwojenne rozeznanie w tym przedmiocie.

Park dookoła Polskiego Poselstwa w Teheranie sprawiał wrażenie szokujące. Nie tylko subtropikalna roślinność zwracała moją uwagę botaniczki. Szczególnie zainteresowana ekologią i geografią roślin byłam na ten widok w pewnym stopniu przygotowana. Bardziej egzotyczny i zaskakujący był widok uchodźczych ugrupowań politycznych, manifestujących swą przynależność organizacyjną i przekonania polityczne na wielkich tablicach przymocowanych do pni fikusów, morw i innych rosnących w parku drzew. W ten właśnie sposób agitowano na rzecz BBWR, Narodowej Demokracji, PPS, PSL i innych partii politycznych Polski przedwrześniowej. Nawet młodzieżowe organizacje, jak ZMPD, OWP i inne, wywieszały na drzewach swoje transparenty.

Po dłuższym oczekiwaniu w tłumie uchodźców przynoszących swoje - ciężkie dla nich osobiście, lecz drobne sprawy - właśnie temu, zdawało się, najważniejszemu przedstawicielowi naszych władz, zostałam przez niego przyjęta jako ostatnia tego dnia, już bez świadków, zupełnie w cztery oczy. Dokoła pusty już park - tylko krzyczące szyldy, pusta weranda - i przy ogrodowym stoliku my dwoje. W tym niemal prywatnym otoczeniu zaskoczyła mnie skrupulatność i podchwytliwość pytań prof. Kota (a miałam już za sobą różne przesłuchania). Jego wnikliwe pytania o przeszłość, o poglądy, odczucia, o stosunek do spraw i ludzi - pytania nie "przyciskające do muru", lecz docierające do głębokiej podświadomości, wyzwalające potrzebę podzielenia się swymi przeżyciami, swymi odczuciami w stosunku do innych ludzi.

Pierwsze pytanie - jeszcze na stojąco: "Czy siostra moja to Rączkowska, od niedawna żona znanego instruktora starszoharcerskiego?"; i drugie - "Czy jestem harcerką?". Po moich potwierdzających odpowiedziach dopiero siadamy. Wypytał o wszystko: o mamę (o ojcu wiedział dużo ze środowiska uniwersyteckiego), o rodzeństwo, o moje kolejne szkoły, o studia uniwersyteckie, o pracę harcerską (a ta u mnie nie była bardzo imponująca), o losy wojenne, o aktualny udział w pracy. Mój monolog, kierowany nielicznymi wnikliwymi pytaniami, trwał przez przeszło dwie godziny, po czym nastąpiła przerwa do popołudnia.

Około piątej, w intymnej atmosferze prywatnego gabinetu, od razu zaskakująca propozycja: "Obejmie Pani komendę nad Harcerstwem Polskim w Afryce Wschodniej. Wyjechały tam liczne transporty uchodźców, głównie kobiet, dziewcząt i dzieci, bo mężczyźni i starsi chłopcy trafili do wojska i szkół wojskowych. Wyjechała młodzież zorganizowana w drużyny mieniące się harcerskimi, ubrana w polskie mundurki z biało-czerwonymi chustami, umiejąca maszerować i głośno śpiewać polskie piosenki. Chcą coś robić, ale nikt z nich nie wie, co i jak. Trzeba to opanować i po harcersku poprowadzić". Wstrząśnięta tą propozycją odpowiedziałam: "Ale ja przecież nigdy nie prowadziłam dużej organizacyjnej roboty. Zawsze byłam od pracy programowej i wychowawczej. Nie sprostam temu zadaniu". A profesor na to: "Trudno, teraz jest wojna. W zasięgu oddziaływania Komendy ZHP na Wschodzie jest Pani jedyną instruktorką z nominacją krajową, pochodzącą z Organizacji Harcerek. Przedwojennych instruktorów mamy tylko mężczyzn, a do Afryki potrzeba kobiety. Przecież jeśli na wojnie zabraknie dowodzącego oficera, komendę obejmuje oficer młodszy, z kolei podoficer, aż w końcu ten z szeregowców, który jest zdolny udźwignąć dowództwo To obowiązek".

Nie było apelacji. Zapytałam tylko nieśmiało, gdzie pojadę? Profesor odpowiedział : "Prawdopodobnie do Nairobi, stolicy Kenii, ale czy to nie wszystko jedno? Siądzie Pani na sawannie pod akacją, przybije do pnia duży napis: "Komenda Harcerstwa Polskiego w Afryce" i nikt się nie sprzeciwi. Nie ma tam nikogo starszego rangą".

Wtedy odezwała się we mnie żyłka harcerskiej przygody. To warto przeżyć. Przecież będę tam bardzo potrzebna, tyle jest do zrobienia. Natychmiast napisałam do Meszhedu prośbę o zwolnienie z tamtejszego PCK i zaczęłam przygotowywać wyjazd na Czarny Ląd.

Moje własne przygotowania polegały na próbach znalezienia w wielojęzycznym Teheranie jakichś podręczników przydatnych w pracy skautowej. Udało mi się kupić podręcznik terenoznawstwa dla radzieckich pionierów po rosyjsku. Koleżanka kupiła mi podręcznik obozownictwa dla angielskich skautów, Po polsku oczywiście niczego nie było, a po niemiecku nie brałam, nie znając zupełnie tego języka. Kupiłam też sobie zegarek, kompas, menażkę. Plecaka nie dostałam. Oprócz tego kupowałam podręczniki dla szkół średnich z różnych dziedzin przyrodoznawstwa w różnych językach. Biologia ogólna i repetytorium z fizyki trafiły mi się po rosyjsku, botanikę dostałam dla francuskich dzieci w koloniach, atlas świata kupiłam angielski - itd. Ponadto kupowałam papier, zeszyty, przybory do pisania. Jakiś fartuch z szarego płótna przystosowałam do funkcji munduru harcerskiego i to było wszystko, co można było zrobić w Teheranie.

Natomiast profesor Kot próbował mię przygotować do mej trudnej funkcji od innej strony. Uznał, że wiedzy, dobrej woli i sił fizycznych wystarczy mi na wszystko; nie był natomiast przekonany, czy mi wystarczy sił psychicznych i doświadczenia życiowego na stawianie czoła rozgrywkom politycznym - typowo emigracyjnym walkom małych i nie mających w obliczu wojny światowej żadnego znaczenia ugrupowań pseudo-politycznych. Wprowadził mię dlatego na kilka zebrań z ostrą dyskusją nad mało ważnymi sprawami, które nurtowały nasze uchodźstwo - abym wiedziała, z czym się będę musiała liczyć. Powiedział mi dużo o niektórych ambitnych ludziach, o sposobach walki politycznej i w ogóle o całych obszarach życia społeczno-politycznego, dotychczas zupełnie mi nie znanych. Mnie samą nadal po trochę sondował, planowo wykorzystując do tego domniemane wspólne znajomości. Zapytał mię kiedyś znienacka, co myślę o Witoldzie Kuleszy (dobry botanik i działacz ochrony przyrody z Uniwersytetu

Poznańskiego). Tym pytaniem wywołał moją ocenę człowieka, którego znał dobrze, bo był w młodości jego korepetytorem i pozostał z nim w przyjaźni . Potwierdził też sobie równocześnie moje studia na wydziale Rolniczo-Leśnym UP i mój udział w życiu botanicznym Poznania. Ciągle bowiem rozważał moją przydatność do pracy wychowawczej i opiekuńczej w Afryce.

Do Afryki wyruszyłam w połowie sierpnia 1942 r. z grupą osób przeznaczonych do określonych prac w Afryce, jako jedna z byłych pracowników Delegatury w Archangielsku (3*). Najpierw pojechaliśmy pociągiem do Ahwazu, do obozu przejściowego, gdzie było już wielu uchodźców polskich, gdzie przeżyliśmy tam pierwszą prawdziwą burzę piaskową. Dalej pojechaliśmy do pobliskiego portu Abadan, skąd brytyjskim statkiem Aronda wyruszyliśmy wraz z wielkim transportem uchodźców w podróż morską. Przez Zatokę Perską, Zatokę Omana i Morze Arabskie wypłynęliśmy na Ocean Indyjski, kierując się ku brzegom Afryki. Dalsza podróż w jej stronę okazała się jednak niemożliwa. Na Oceanie były niemieckie okręty podwodne, a może japońskie. Skierowano więc statek do Bombaju, a stamtąd wzdłuż brzegu indyjskiego do Karaczi, do ogromnego obozu przejściowego, którego część była obozem przejściowym dla Polaków. W tym pustynnym obszarze przeczekaliśmy około dwa miesiące, do chwili kiedy można się było bezpiecznie udać w dalszą podróż, już oczywiście innym statkiem.

Dla większości dorosłych życie na statku i w obozie biegło leniwie i w chwilach wolnych od strachu mogło być nawet nudne. Nauczyciele jednak prowadzili niemal bez przerwy pracę z młodzieżą i - co najważniejsze - z dziećmi. Byli zarejestrowani, mieli przydzielonych uczniów, do których jednak każdy chcący się uczyć mógł się zawsze dołączyć. Byli płatni za tę swą pracę na każdym miejscu postoju. Była to wspaniała robota, każdy kto tylko potrafił, mógł się w nią włączyć w taki czy inny sposób. Jechałam z grupą, która przez całą drogę przepisywała na maszynie programy szkolne dla całej szkoły ogólnokształcącej. Maszyna brała po 10 egzemplarzy; pierwszy rozbijała - pozostawało dziewięć. Pisaliśmy bez przerwy, tj. bez przerwy pracowała maszyna, a ludzie się przy niej zmieniali dzień i noc . Napisaliśmy programy dla całej Polskiej Afryki.

Do Mombasy przybiliśmy w połowie grudnia 1942 r. Dla Afryki równikowej to pora najgorętsza. Przywitał nas Delegat Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej londyńskiego Rządu RP inż. Kazimierz Kazimierczak i jako najwyższa wtedy władza polska nad naszymi uchodźcami objął nad nami opiekę. Wielki transport uchodźców skierował do organizujących się osiedli, grupę osób, które przyjechały ze skierowaniami do określonej pracy - do Nairobi, stolicy Kenii, gdzie mieściła się kierowana przez niego Delegatura.

Już droga pociągiem, widok z jego okien - były pierwszym potężnym "zastrzykiem" Afryki. Wąski zielony pas przybrzeżny z pióropuszami palm kokosowych i rozrzuconymi wioskami murzyńskimi minęliśmy w kilka godzin. Wjechaliśmy w bezkresną sawannę, pełną grubego afrykańskiego zwierza. Stada zebr, żyraf, różnego rodzaju antylop i małych zwinnych gazeli pasły się spokojnie, często z nim pomieszane. Raz przed wieczorem stadko siedmiu żyraf, różowych w zachodzącym słońcu, zatrzymało nasz pociąg. Trzeba było zaczekać, aż zechcą zejść z toru. Cóż - był to rezerwat i zwierzęta wiedziały, że są bezpieczne.

Praca w Delegaturze w Nairobi

Pracę na stanowisku referentki spraw młodzieży i Harcerstwa w Delegaturze Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej w Nairobi podjęłam 19 grudnia 1942 r., tj. na drugi dzień po przyjeździe do tego miasta. Nominacja na Komendantkę Harcerek wraz z upoważnieniem do kierowania całością pracy harcerskiej w Afryce (podpisana przez Komendanta ZHP na Wschodzie, hm. J.W. Śliwińskiego (dogoniła mnie wkrótce, po moim powrocie z pierwszego wyjazdu w teren.)

Pierwsze wiadomości o stanie Harcerstwa w powstających we Wschodniej Afryce Brytyjskiej polskich osiedlach uchodźczych (Anglicy nazywali je obozami - Polish Refugee Camps) znalazłam dzięki uprzejmości zastępcy delegata, p. Tadeusza Kopcia, w raportach szkolnych. Zawierały one dane o liczbie drużyn,

harcerek i harcerzy oraz nazwiska drużynowych, a tu i ówdzie nawet hufcowych, oczywiście samozwańczych) lub przynajmniej opiekunów z ramienia szkoły lub kierownictwa osiedla.

Istniały już wtedy następujące osiedla polskie, a w każdym z nich takie lub inne harcerstwo.

W Ugandzie: Masindi, między jeziorem Alberta a jeziorem Kioga,
Koja, nad jeziorem Wiktoria w pobliżu Kampali i Entebe,

W Tanganice: Tengeru, koło Arushy i wygasłego wulkanu Meru,
Kondoa, nieco dalej na południe, koło Irangi,
Ifunda, koło Iringi, jeszcze dalej na południe, w terenie górskim,
Kidugala, koło Mbeji, też w górach, najdalej na południe,

W Kenii: Mekindu, obóz przejściowy między Mombasą a Nairobi,

Ponadto w obu Rodezjach była pewna ilość Polaków, nie skoszarowanych w zamkniętych osiedlach, lecz żyjących wśród miejscowej białej ludności. W tamtym obszarze osiedla uchodźcze zaczęły powstawać dopiero od 1943 r., najpierw w Północnej Rodezji, a później w Południowej.

Po zorientowaniu się w stanie organizacyjnym Harcerstwa oraz powiadomieniu wszystkich jednostek o swoim przybyciu do Afryki i objęciu komendy, rozpoczęłam wizytacje kolejnych ośrodków pracy harcerskiej. Przez dwa lata były one treścią mojego życia. Ogromną większość tego czasu spędziłam w różnych osiedlach i w drodze do nich - pociągiem, autobusem, samochodem osobowym, ciężarówką, statkiem, samolotem - po kilkaset, a częściej po kilka tysięcy kilometrów od jednego do drugiego. Moje pobyty w Nairobi były krótkie, pełne załatwiania spraw. sprawozdań i sprawunków. Ciągle kupowałam coś na miejsce rzeczy zgubionych, podartych w drodze lub zostawionych komuś, kto ich bardziej potrzebował.

Jak to przewidział prof. Kot, najtrudniejsze było utrzymanie pozycji "szefa resortu", mówiąc językiem współczesnym, wśród ambitnych ludzi na wysokich stanowiskach i z doświadczeniem życiowym, a przy tym - samych mężczyzn.

Byłam w Nairobi jedyną kobietą zatrudnioną w centrali nie na stanowisku sekretarki ani kierowniczki domu dla pracowników delegatury, jedynym wizytatorem-kobietą z prawem wnioskowania o zatrudnieniu, utrzymaniu na stanowisku lub zwolnieniu ludzi pracujących w naszych osiedlach. A toczyła się tam ostra walka o rząd dusz. Niektórzy kierownicy osiedli, szkół, sierocińców, pewni pracownicy dawnego MSZ, oficerowie zwolnieni z wojska z uwagi na nieprzydatność, nawet niektórzy księża - wyobrażali sobie, że to oni wyłącznie mają prawo do kształtowania poglądów mieszkańców osiedli i do kultywowania polskości na uchodźstwie. Wywalczanie sobie prawa do prowadzenia własnej polityki wychowawczej w myśl prawa i przyrzeczenia harcerskiego kosztowało dużo. Przeżyłam nawet śledztwo w sprawie domniemanej działalności politycznej pod płaszczykiem pracy harcerskiej, rozpętane niestety przez naszych ludzi, a ukrócone przez Anglików, którzy na rozgrywki w osiedlach polskich patrzyli beznamiętnie.

W pracy na terenie osiedli największe trudności powodował zupełny brak instruktorów harcerskich, a przede wszystkim instruktorek. Dobrze było, jeśli kierownictwo pracy harcerskiej w osiedlu podjęła samorzutnie jakaś nawet nie harcerka, ale osoba inteligentna i pełna dobrej woli - i z pomocą mało doświadczonej młodzieży robiła co się dało w tych warunkach. Ale bywało i gorzej.

W początkach organizacji osiedli i I drużyn harcerskich brakowało też jakichkolwiek książek i czasopism harcerskich. Nie było nawet wymagań na stopnie harcerskie, niczego z zakresu ideologii harcerskiej, nie pokrywającej się przecież w stu procentach z ideologią angielskiego skautingu, bo tak przepojonej polskością. Nie mieliśmy tam nic na temat obrzędowości harcerskiej, nadającej koloryt naszym obozom i uroczystościom i pozostającej na zawsze we wspomnieniach. Podobna sytuacja była w szkolnictwie. Podręczników nie było do tego stopnia, że nauczycielki pierwszych klas miały obowiązek przez każde wakacje przepisać i przerysować co najmniej trzy elementarze. Pomagała w tym starsza młodzież, najczęściej harcerska. Gdy przyjechawszy do Nairobi, aby dopiero objąć stanowisko, zastałam czekających już na mnie dziesięć numerów

wydanego w Palestynie harcerskiego czasopisma "Wytrwamy", rozesłałam je do wszystkich osiedli na ręce drużynowych lub hufcowych. Wizytując później pracę harcerską w tych osiedlach przekonałam się, że ani jeden egzemplarz tego czasopisma nie został w bibliotece harcerskiej, lecz wszystkie trafiły do szkół, do klas pierwszych jako jedyne polskie słowo drukowane na prawdę w drukarni.

Nie było też żadnego sprzętu: namiotów, saperek, kompasów i w ogóle niczego. Z tym jednak harcerstwo dawało sobie dobrze radę. Okazało się, że było ono jedyną siłą, która w pierwszych , najtrudniejszych latach w powstających dopiero osiedlach potrafiła zorganizować i zapełnić dzieciom i młodzieży czas po powrocie ze szkoły, a starszej młodzieży, której nie ogarniały jeszcze rozwojowe szkoły, dostarczyć jakichś zainteresowań i zajęć. Bo harcerstwo robiło to gołymi rękami, w oparciu o teksty prawa i przyrzeczenia harcerskiego, umieszczone na okładkach wyniesionych z zawieruchy wojennej książeczek służbowych. Nie czekało na sprzęt obozowy i sportowy, który nadszedł o wiele później, uzbroiło się w patyki z lasu, sznurki i linki ze starych opakowań, w piłki do gry ze starych niepotrzebnych już w ciepłym kraju pończoch. Nawet namioty w suchej porze robiło się z koców.

W późniejszych latach, gdy szkoły sięgały już po klasy licealne i gdy działały juz w nich biblioteki, gdy istniały dobrze jak na czas wojny wyposażone świetlice katolickie i świetlice YMC-i, część młodzieży wykruszyła się z harcerstwa, znajdując inne sposoby wykorzystania wolnego czasu.

Zanim jeszcze udałam się do pierwszego osiedla na wizytację, polecono mi dokonać wypłaty nauczycielkom w obozie przejściowym Mekindu. Kupiłam się sobie "konduktorkę", zapakowałam w nią ogromną masę pieniędzy i wyruszyłam w drogę. Przygoda, która mię tam spotkała, nie jest niczym specjalnie ciekawym ani ważnym. Jest to jednak zdarzenie niezmiernie typowe dla Polaków rozrzuconych w czasie wojny po różnych stronach świata.

Do Mekindu mądrzy ludzie przyjeżdżają po to, aby w nocy z bezpiecznej ambony oglądać lwy. Ale ja przyjechałam , aby zapolować na nauczycielki, które nawet w czasie podróży z Iranu do Afryki, na kołysanym oceanicznymi falami

statku, nie zaprzestały nauczania polskich dzieci. Gdy się już uporałam z dłuższym ogonkiem nauczycielek szkoły powszechnej, podeszła jako pierwsza - osoba, która się przedstawiła i wylegitymowała jako Wanda Dorosz, magister filozofii w zakresie historii, z egzaminem pedagogicznym. A więc nauczycielka szkoły średniej całą gębą. Ale w mojej głowie skojarzenia wywołały inne jej dane personalne. Urodzona była w 1913 r. w Stanisławowie. Przywiodło mi to na myśl Luśkę Pisarską, koleżankę mojej siostry z klasy i zastępu Świstaków, która wyjechała do Stanisławowa, skąd była zresztą rodem. Jednak nawet stamtąd na wycieczki i kolonie wakacyjne jeździła z naszą drużyną harcerską. Zapytałam więc: "Czy nie zetknęła się Pani przypadkiem w szkole z Heleną Pisarską?". A ta baranieje w pierwszej chwili, a potem pyta: "Czy Pani to Wiecha, czy Zaza?" (też koleżanki z tej samej klasy i zastępu, znane jej w Stanisławowie z korespondencji z Luśką). A ja na to: "Nie, ja jestem Zdzicha, siostra Wiechy. A Kazia, siostra Zazy jest w Masindi w Ugandzie - jeszcze jej nie widziałam. Nie mogłam wtedy przewidzieć, że za dwa lata spotkamy się wszystkie trzy (Kazia, Wanda i ja) jako nauczycielki w tej samej szkole i z czasem p. Wanda zostanie moją dyrektorką.

W czasie tych wojennych wędrówek Polaków każdy kogoś szukał. Kazi Skórskiej szukałam już w Ambasadzie Polskiej w Kujbyszewie i natrafiłam tam na jej nazwisko w kartotece kobiet z wyższym wykształceniem. Była na którymś z posiołków z rodziną, łącznie cztery osoby. W ogromnym skupisku teherańskich obozów nie udało mi się jej wytropić. Dopiero w pierwszym dniu pracy w Nairobi znalazłam zapis: "Skórska Kazimiera, dziennikarka" w wykazie osób, które organizowały szkołę w tym właśnie obozie przejściowym przeszło pół roku temu. Powiedziano mi zaraz, w którym osiedlu pracuje. Gdy przyjechałam do Masindi, zastałam ją zupełnie samą. Cała rodzina, która z nią była na posiołku, wymarła.

Pierwszym hufcem harcerskim, który odwiedziłam już w styczniu 1943 r., był Hufiec Tengeru, zorganizowany w największym polskim osiedlu afrykańskim w okręgu Arusha w Tanganice. Osiedle położone było u stóp wygasłego wulkanu Meru, nad kraterowym jeziorkiem Duluti. Widok z osiedla na ośnieżony stożek Kilimandżaro był niezapomniany. Wieczorem szczyt był złocisto-różowy, gorejący;

nad ranem srebrzysto niebieskawy - jak w "W pustyni i w puszczy". Okolice osiedla były niezwykle żyzne, o glebach czarnych, pochodzenia wulkanicznego. Nieco dalej przechodziły w gleby czerwone laterytowe, jak większość w Afryce Wschodniej. Dookoła rozciągała się sawanna z wysokimi drzewami kwitnącymi różnobarwnie w różnych porach roku. Pola jęczmienia i kukurydzy, plantacje kawy, agawy sizalowej i papaji, gaje bananowe, a przy osiedlach pomarańcze i mango.

Osiedle było w stanie rozbudowy niemal przez cały czas. Rozrastało się w miarę przybywania nowych transportów uchodźców. Co prawda transporty te przysyłano na ogół wtedy, gdy było już gdzie zamieszkać. Domki były okrągłe, lepione z czarnego wulkanicznego błota, bielone z zewnątrz i w środku ze szpiczastą strzechą z liści bananowych lub palmowych. Model chatki - "jedno miała okienko i jeden był wchód do niej". Pod nogami klepisko. Miejsce na cztery proste łóżka, kwadratowy stolik i krzesła, nawet prawdziwej szafy nie było, ani zresztą miejsca na nią. Z czasem dookoła pozakładano ogródki kwiatowe. Prawdziwymi domami, a raczej długimi barakami, były tylko: angielska komenda i polskie kierownictwo osiedla, szpital, sierociniec, szkoły i świetlice.

W pełni rozkwitu osiedla szkół było w Tengeru chyba osiem, trzy powszechne (żeńska, męska i koedukacyjna), gimnazjum i liceum ogólnokształcące, gimnazjum kupieckie, gimnazjum krawieckie, szkoła mechaniczna i szkoła rolnicza. Świetlice były trzy: katolicka (a może prawosławna), YMC-i i harcerstwa, mieszcząca izbę harcerską, izbę zuchową, bibliotekę i magazyn sprzętu obozowego.

Hufcową w Tengeru była p. Eugenia Grosicka, kierowniczka sierocińca, dawna harcerka, której duże doświadczenie organizacyjne pochodziło nie tylko z pracy harcerskiej, ale także - a może przede wszystkim - z pracy w Rodzinie Wojskowej. Dysponowała ona dużą inteligencją, energią, pomysłowością i obywatelską świadomością konieczności pracy nad polską młodzieżą na uchodźstwie. Nauczyłam się od niej wiele. Widziała moje niedociągnięcia organizacyjne, pomagała z błyskawicznym refleksem, a zarazem bardzo dyskretnie.

Hufiec stanowił bardzo zwartą organizacyjną całość, efektownie prezentującą się na zewnątrz. Był podzielony na normalnej wielkości drużyny i gromady zuchowe, umundurowany i ze sztandarem wyhaftowanym w osiedlu. Nie brakowało mu nawet Koła Przyjaciół Harcerstwa, którego członkami byli działacze harcerscy z prawdziwego zdarzenia. Przybocznymi hufcowej byli: Matylda Jarosz, która założyła pierwszą drużynę w Tengeru jeszcze przed przybyciem druhny Grosickiej, i Witold Kozak, najstarszy z harcerzy. Pracę zuchów-dziewcząt prowadziła Barbara Jarosz, a gromadę zuchów-chłopców - młody bardzo ,Karol Kołodziej. Z drużynowych i innych funkcyjnych hufca pamiętam Jadwigę Śmietanę, Stanisławę Dźwigałę, Helenę Janulewicz, Romualdę Pleśniewicz - które w tym początkowym okresie wykazywały dużą aktywność. Mimo wielu niedociągnięć w metodyce harcerskiej i wielu napotykanych trudności hufiec pracował bardzo dobrze. Stać go było nawet na urządzenie obozu harcerskiego pod namiotami z koców, wspominanego potem długi czas przez wiele harcerek. W tym środowisku potrzeba było tylko jakiegoś podparcia od strony metody harcerskiej.

Następnym osiedlem, które wizytowałam, było Masindi w Ugandzie, drugie pod względem wielkości polskie osiedle w Afryce. Położone pomiędzy jeziorem Alberta z jeziorem Kioga, na skraju wielkiego lasu "Bunyoro Forest", miało opodal wspaniały rezerwat przyrody "Wodospady Murchisona". Klimat tam był wilgotniejszy i roślinność bujniejsza niż w Tengeru. Samo osiedle składało się z kilku odrębnych części, tzw. "wiosek", z centralnym placykiem każda. Życie wioski koncentrowało się na tym placyku, gdyż mieszkał tam kierownik grupy zamieszkującej wioskę i zawsze był tam jakiś ważny obiekt osiedlowy; szkoła, gdzie indziej świetlica albo warsztaty , a przede wszystkim - wszędzie - ogólnie dostępne wodociągi, natryski, miejsce do prania, ubikacje i kuchnie. Domki były na ogół dwurodzinne, słomiane (nie tylko dachy, lecz i ściany).

Życie kulturalne tego osiedla koncentrowało się wokół świetlicy, której duszą była moja bliska przyjaciółka, Kazimiera Skórska, harcerka z tej samej XIV Drużyny harcerek z Poznania, wywodząca się z tej samej szkoły i tego samego uniwersytetu. Ta słaba, ułomna fizycznie osoba, dysponowała trzema dyplomami

wyższych studiów w zakresie filologii polskiej prawa i dziennikarstwa) i miała duży talent do języków obcych. W Masindi prowadziła referat kulturalno-oświatowy a w tych ramach świetlicę, bibliotekę, teatr kukiełkowy, kursy języka angielskiego z wyjazdami poza osiedle i autentycznymi nauczycielami. Wszystko to właśnie w pierwszych trzech latach istnienia "Polskiej Afryki", gdy na świecie szalała wojna i do osiedli nic prawie nie dochodziło. Bieda była aż piszczało.

Pierwszy kierownik, a zarazem projektant i budowniczy tego osiedla, inż. arch. Jerzy Skolimowski z Warszawy, był na tle całego polskiego środowiska na tym kontynencie jedyną w swoim rodzaju postacią, jako fachowiec i człowiek wysokiej kultury (miał też skończoną szkołę sztuk plastycznych) i jako patriota, świadomie oddziałujący na mieszkańców osiedla. Najbardziej za serce chwyciło mię to, że wytyczając główną ulicę przyszłego osiedla polskiego w centrum Afryki, poprowadził ją według kompasu w kierunku na Warszawę. Brakowało nam go bardzo, gdy wrócił do wojska (4*).

W Masindi zorganizowany był również hufiec harcerski, niewiele mniejszy niż w Tengeru. Prowadziła go. p. Antonina Załęska, kierowniczka gimnazjum, osoba ambitna, żądna władzy i pochlebstw. Choć byli w osiedlu nauczyciele z pełnymi kwalifikacjami do uczenia w szkołach średnich, a także dorośli harcerze, ta dysponująca tylko dwoma latami studiów polonistycznych i stopniem pionierki osoba, potrafiła zagarnąć dwa kierownictwa i trzęsła sprawami młodzieży w osiedlu. Że z tymi sprawami źle się dzieje w Masindi, zorientowałam się zaraz po przyjeździe. Rzucało się to w oczy. Założeniem wychowawczym hufcowej i zarazem kierowniczki gimnazjum było: "tak dużo już przecierpieliście - teraz uczcie się i bawcie". Nie było wolno młodzieży włączać się w żadną pracę w osiedlu. Może chodziło o to, iż prace te inicjował ktoś inny, najczęściej kierownik osiedla. Nie zdarzyło się bowiem tej pani podporządkować jakiemukolwiek zarządzeniu ani prośbie władz osiedla. Szybko doszłam do głębokiego przekonania , że to wszystko co się dzieje w hufcu Masindi, nie ma nic wspólnego z Harcerstwem. Wysłałam telegram do delegata p. Kazimierczaka iż uważam p. Załęską za osobę szkodliwą w osiedlu. Okazało się , że była już ona osobą znaną w delegaturze i ku

mojemu osłupieniu dostała wkrótce telegraficzne przeniesienie do innego osiedla. Była to zresztą jedyna tego rodzaju ostra decyzja w moim życiu. Na ogół przeżywałam ciężko zwalnianie z funkcji nawet czternastoletnich zastępowych.

Mianowałam nową hufcową. Nowy dyrektor, z pełnymi kwalifikacjami, nawet z egzaminem pedagogicznym objął gimnazjum w Masindi. "Wojsko p. Załęskiej" miało się zacząć przekształcać w Harcerstwo Polskie. Jednakże po dziś dzień nie wiem, czy miałam w sprawie hufca Masindi całkowitą słuszność.

Hufiec powierzyłam Wandzie Swarowskiej, 20-letniej harcerce ze stopniem samarytanki, z ukończoną przed wojną pierwszą klasą licealną; drugiej w osiedlu jeszcze nie było. Pracowała ona w przyszpitalnym laboratorium analitycznym. Liczyłam na jej inteligencję, kulturę, uczciwość, a przede wszystkim dobrą wolę. Obejmowała hufiec w momencie, kiedy p. Załęska ładowała rzeczy na ciężarówkę mającą ją zawieźć do osiedla Koja, a mnie z 40-ma stopniami gorączki wieziono do szpitala osiedlowego. Na pierwszą zbiórkę nie przyszedł nikt. "Wojsko" należało jeszcze do p. Załęskiej. W trzy dni później, gdy spadła mi gorączka, dowiedziałam się, że Wanda opanowała już hufiec.

Moja choroba w Masindi była sensacją dla całego środowiska lekarskiego w Ugandzie. Nasza lekarka, dr Grygierowa (stary pediatra), stwierdziła u mnie szkarlatynę i była swej diagnozy zupełnie pewna. Wśród lekarzy angielskich pracujących od dawna w tej okolicy panowało przekonanie, że w tropikach szkarlatyny nie ma. Zbiegali się oglądać mnie jak okaz w ogrodzie zoologicznym. A wszystkie objawy kliniczne były jaskrawe, aż po łuszczenie się skóry włącznie. W końcu zawyrokowano, że zarazki musiały przylecieć pocztą lotniczą z Palestyny, skąd niedawno dostałam paczkę listów.

Choroba zakaźna pociągnęła za sobą nie tylko stratę czasu na samo chorowanie, ale także i konieczność kwarantanny, a przecież przyjechałam do osiedla na pracę z młodzieżą. Okazało się jednak, że cały okres kwarantanny zszedł mi na ciężkiej malarii, tak ciężkiej, jaka bywa na ogół tylko u osób mocnych przy pierwszym ataku w życiu. W sumie wypadło mi z życia ponad miesiąc. Pozwoliło to Wandzie Swarowskiej zorganizować pracę w hufcu według własnej

koncepcji. Wanda była już do końca "Polskiej Afryki" najlepszą chyba hufcową. Zdała maturę, gdy szkoła doszła do drugiej licealnej, pracowała nadal - na wszystko miała czas i siły.

Osiedle Koja, położone na północnym brzegu jeziora Wiktoria, w pobliżu murzyńskiej stolicy protektoratu Uganda, Kampali, i stolicy brytyjskiej administracji, Entebe, też należało do największych naszych osiedli. Było ono najwilgotniejszym i początkowo najbardziej malarycznym miejscem zamieszkania Polaków we Wschodniej Afryce. Dostęp do jeziora był albo przez pas wysokich oczeretów, na oko podobnych do naszych, albo brzeg był skalisty czy kamienisty, usiany wielkimi głazami. Nie było się wolno kąpać ani jeździć łódką; w jeziorze było dużo krokodyli. Wysoka dżungla dochodziła do skraju osiedla. Najbardziej tu właśnie - z konieczności - pilnowano przepisów antymalarycznych, tj. noszenia długich spodni i spuszczonych rękawów po godzinie 18-tej. Dziewczęta w Koji wyglądały bardzo malowniczo w różowych spodniach w kolorowe bukieciki kwiatów (innego materiału w osiedlu nie było w dostatecznej ilości) i białych bluzkach. Mundurki harcerskie dziewcząt też były odmienne od mundurków z innych osiedli - białe. Poszyto je z marynarskiego płótna, które można było gotować. Nieduże, strzechą kryte domki najbardziej przypominały wiejskie chaty. W połowie 1943 r., gdy odwiedziłam Koję po raz pierwszy, hufiec harcerski był w stadium organizacji. Objęła go od niedawna Feliksa Morawska, nauczycielka szkoły powszechnej. Gimnazjum też było w fazie początkowej - pamiętam tylko pierwszoklasistów. Starsza młodzież chodziła luzem albo pracowała. Nowa hufcowa nie miała łatwego zadania, choć była to osoba z prawdziwą harcerską przeszłością. Drużynę harcerek prowadziła początkowo Wanda Pruska, nie chodząca do szkoły, bo nie było niczego odpowiedniego dla starszych dziewcząt. Intelektualnie przeskakiwały ją trzynastoletnie uczennice pierwszej gimnazjalnej. Taka sytuacja nie ułatwiała jej pracy. Pamiętam dwie takie harcerki, tryskające pomysłami i manifestujące swą młodocianą uczoność - Danusię Chodźko i Dziobkę (Lucynę) Ulanicką. Ta ostatnia chyba pracowała z zuchami. Ta praca układała się jakoś lepiej. Dziewczęta znajdowały w niej naturalne ujście dla budzących się instynktów opiekuńczych.

Chłopców było znacznie mniej, jak wszędzie we Wschodniej Afryce. Należeli do tego samego hufca.

Po powrocie do Nairobi dowiedziałam się, że w Ugandzie wybuchł bunt murzynów przeciw brytyjskiej administracji. Najostrzejsza sytuacja była koło Entebe, a więc blisko osiedla Koja. Strzały rozlegały się w pobliżu, kule latały wzdłuż ogradzających osiedle drutów (takich, jakie u nas ogradzają pastwiska). Ale żadna nie zbłądziła do wnętrza osiedla. Choć murzyni rżnęli Anglików, jeśli tylko dopadli ich pojedynczo lub w małych grupach, żadnej Polce włos z głowy nie spadł. W Nairobi miałam sprawę do załatwienia w lokalu PCK na jakiejś ulicy odległej od Delegatury. Ktoś mnie tam zawiózł, ale wrócić miałam sama. Pomyliłam ulice, trafiłam do czysto murzyńskiej dzielnicy. Z pełną świadomością, co się dzieje w sąsiednim kraju, szłam sama trzy godziny, nie wiedząc dokąd. Wreszcie ujrzałam wysoko nad dachami wieżyczkę znanego budynku, która wskazała mi właściwy kierunek. Szłam środkiem jezdni, bojąc się zatłoczonych chodników i podcieni, w jasnej sukience z gołą jasnowłosą głową - i z duszą na ramieniu. Ale nic mi się nie stało. Murzyni nie wzięli mnie za angielską lady. Rozumieli instynktownie różnicę między polskimi uchodźcami a angielskimi kolonistami. Ale nie jest wykluczone, że nasza odmienność od angielskich i niemieckich urzędników i farmerów wywarła jakiś wpływ na mentalność tubylczej ludności Afryki Wschodniej. Może ten i ów zrozumiał, że kolor skóry nie jest najważniejszą różnicą pomiędzy ludźmi.

Jednym z ciekawszych harcerskich przeżyć w Ugandzie w pierwszych moich latach pracy w Afryce był obóz angielskich "Girl Guides" nad jeziorem Wiktoria, na który zaproszono nasze harcerski z Masindi i Koji. Komendantką obozu była p. Elisabeth Jenkins, pełniąca funkcję "Girl Guides Commisioner" na Ugandę, a więc jakby tamtejszej komendantki chorągwi. W obozie wzięło udział 13 angielskich "guides", 12 harcerek z Hufca Masindi, 8 z Hufca Koja (razem 33). Komenda obozu była liczna, zwłaszcza dużo było angielskich instruktorek. Z Polek w skład Komendy wchodziłam ja, jako Komendantka Harcerek Polskich w Afryce Wschodniej i Wanda Swarowska, hufcowa z Masindi. Na obozie kładziono

znacznie większy nacisk na obozownictwo i pionierkę niż na naszych obozach harcerek. Wyglądało to trochę jak u naszych chłopców. Jeśli chodzi o stronę wychowawczą, to zwróciła moją uwagę następująca różnica. Angielskie małe dzieci w wieku zuchowym były, w porównaniu z naszymi, dzikusami (jadły łapami, wrzeszczały jakby je obdzierano ze skóry itp.). Natomiast angielskie piętnastoletnie czy szesnastoletnie dziewczęta były w porównaniu z naszymi osiedlowymi dzikuskami już niemal wytwornymi "ladies". Obserwować mogłam oczywiście tylko efekty przedobozowego wychowania.

Z tego obozu jedno zdarzenie pozostało mi w pamięci, chyba na zawsze. Harcerki z Masindi przyjechały na obóz z biało-czerwonym sztandarem. Po założeniu obozu hufcowa zarządziła podniesienie sztandaru. Przyjęłam to jako coś oczywistego. W niedzielę popołudniu odwiedzili obóz tłumnie goście z Entebe i z Kampali: Anglicy, murzyni, Hindusi i Polacy z filii Delegatury w Kampali. Przybył też gubernator Ugandy. Rozpętała się burza. Polska nie istnieje na mapie świata. Wobec braku państwowości polskiej nie mamy prawa do wywieszania sztandaru. Nie jest to zlot międzynarodowy, lecz angielski obóz, na którym jesteśmy gośćmi. Z dużym trudem p. Jenkins wybroniła nasz sztandar od zerwania, może z sympatii do Wandy Swarowskiej, a może żeby nie robić przykrości dzieciom. Oberwało się tylko mnie, która zdaniem władz brytyjskich powinnam była zdawać sobie z tego wszystkiego sprawę. Mimo to ani Wandzie, ani dziewczętom nie tłumaczyłam "niewłaściwości" ich postępku.

Obóz wyglądał malowniczo. Przyczyniała się do tego nie tylko bujna roślinność nad wielkim tropikalnym jeziorem, ale również i uczestniczki obozu. Angielskie dziewczęta miały mundurki szafirowe, angielskie dzieci - brązowe, nasze dziewczęta z Masindi - zielone, a z Koji - białe. Odbijały od tego ciemnogranatowe mundury angielskich instruktorek i popielate naszych. Ćwiczenia odbywały się w grupach mieszanych i stanowiły okazję do ćwiczenia języka angielskiego, a mnie zmuszały do nieustannego tłumaczenia trudniejszych spraw

Z kolei wróciłam do Tanganiki wizytować coraz to dalej na południe położone osiedla; oczywiście wyruszałam ze znanego mi już Tengeru. Na

pierwszy ogień poszła Kondoa (koło Irangi), najmniejsze ze wszystkich stałych osiedli w Afryce Wschodniej. Otoczone było skalistą półpustynią z baobabami i kandelabrowymi wilczomleczami, przypominające rozgałęzione kaktusy. Rzeki były prawdziwie pustynne i w porze suchej przejeżdżało się je po dnie - czasem wybetonowanym w miejscu przeprawy. W porze deszczowej przejazdu po prostu nie było. Rzeki były ogromne, nie sposób było budować odpowiednio duże mosty.

Duszą osiedla byli państwo Zamenhofowie (z tych słynnych); dr Zamenhof, ginekolog i chirurg, znany już w całej okolicy, był naczelnym lekarzem i kierownikiem osiedla w jednej osobie. Olga Nietupska -Zamenhofowa pediatra, była jako lekarz szkolny opiekunką harcerstwa w osiedlu. Małe i pozbawione średniej szkoły osiedle miało niewiele młodzieży; raczej dzieci. Opieka i inspiracja ze strony dorosłej, wykształconej i bardzo oddanej dzieciom osoby miała ogromne znaczenie. Z dziewcząt które tam prowadziły pracę harcerską (nie pamiętam, jakie tam miały funkcje) wyróżniały się przede wszystkim Teresa Kramim i Zofia Chmielewska, drużynowa zuchów. Narzucała się tam potrzeba wysłania starszych dziewcząt do dużego osiedla ze szkołami średnimi i zasilenia kadry nauczycielskiej osobami, które by mogły, oprócz nauczania, poprowadzić pracę harcerską. Wkrótce udało się tego dokonać. Dziewczęta znalazły się w Tengeru, gdzie Teresa skończyła szkołę ogólnokształcącą jako absolutna prymuska na dwie klasy maturalne. Państwo Zamenhofowie mogli wyjechać do większego osiedla i poświęcić się wyłącznie leczeniu ludzi w osiedlu i okolicy. Hufiec Kondoa objął z czasem druh Feliks Pawłowski.

O warunkach podróży po Afryce w tych wojennych czasach może dać wyobrażenie przygoda, jaka mię spotkała w osiedlu Kondoa, gdy chciałam wyruszyć w dalszą drogę na południe Tanganiki. Musiałam wyjechać jak najprędzej, bo nadchodziła pora deszczowa, a wtedy z Kondoa nie było można wyjechać. Kierownik osiedla zamówił i opłacił miejsce przy szoferze w ciężarówce jadącej w stronę Ifundy. Ciężarówka przyjechała o poranku, ale na miejscu przy kierowcy siedziały dwie murzynki. Nie pomogła nasza perswazja, że miejsce jest zapłacone. Nie wysiadły. Kierowca-Hindus zaproponował mi, abym wsiadła na

górę do pudła ciężarówki, w którym jechało kilkunastu zwolnionych z bengalskiego frontu pijanych murzyńskich żołnierzy i kilka głośno piszczących murzynek. Doktor Zamenhof zdenerwował się i zaczął kląć, zwyczajnie i soczyście - po polsku. Oczywiście nic to nie pomogło, przeszedł więc na wymyślanie po angielsku, co też nie odniosło żadnego skutku. Wtedy odezwał się po hebrajsku. Zdawało się, że gromy biją i ziemia się trzęsie, choć wcale nie krzyczał głośno. Czegoś podobnego nie słyszałam nigdy w życiu. Hindus opuścił głowę, murzynki zbladły, a raczej zszarzały, i bez słowa wyniosły się na górę do pudła. Od tej chwili piski się oczywiście nasiliły. W szoferce jechaliśmy w milczeniu. Kierowca był wielkim mężczyzną, w sile wieku, ze wspaniałą czarną brodą i w pięknym liliowym turbanie. Od czasu do czasu spoglądał na mnie spode łba. Bałam się. A to mi się w Afryce rzadko zdarzało. Na ogół byłam tak zajęta, że miejsca i czasu na strach nie było. Na szczęście pod wieczór dotarliśmy do następnego osiedla.

Ifunda koło Irangi była średnim co do ilości mieszkańców osiedlem. Leżała w górzystym obszarze Południowej Tanganiki i klimat był tam dość chłodny. Udawały się jabłka, które w Afryce równikowej są większym rarytasem niż pomarańcze w Europie.

Nie było tam szkoły średniej, choć było tam dużo młodzieży, zwłaszcza dziewcząt. Brakowało nauczycieli. Kłopotu było z tym sporo. Raz wybuchł tam "bunt młodzieży", jak pisano do Nairobi. Kierownik osiedla i kierownik szkoły domagali się mojego natychmiastowego przyjazdu. Nim jednak udało się załatwić wszystkie formalności wyjazdowe, uspokoiło się. Nie mam więc pełnego obrazu co się tam działo. Drużynową harcerek była Jadwiga Kaftanówna. Drugą wybijającą się osobowością była Zofia Macheta, nieco młodsza, bardzo zdolna i energiczna. Poznałam te dziewczęta bliżej, gdy przyjechały do Tengeru do gimnazjum. Takich zdolnych dziewcząt było w Ifundzie więcej i spora ich grupa trafiła do szkół w Tengeru. W osiedlu bez szkół średnich nie miały one co robić.

Jeszcze dalej na południe znajdowało się osiedle Kidugala koło Mbeja - też średniej wielkości, podobnie jak Ifunda. Również i ono miało górskie otoczenie i chłodniejszy niż w wielkich osiedlach klimat. Od Ifundy różniło się wyraźnie

pewnym komfortem mieszkań. Domki były masywniej zbudowane i miały podłogę z cegieł. O takich luksusach mieszkańcom wcześniej opisanych osiedli nawet się nie marzyło. Zorganizowano tam gimnazjum, choć nie stało się to zaraz po założeniu osiedla i nie od razu ruszyły wszystkie klasy.

Początkowo drużynę harcerek prowadziła tam Janina Maciąg, dziewczyna sympatyczna i uczciwa, ale niczego nowego nie można jej było nauczyć. Wydało mi się, że trzeba zmienić drużynową, tym bardziej że ojciec jej skarżył się na nadmiar pracy społecznej, jaką jest obarczona. A miała duże trudności z nauką. Gdy ogłosiłam tę zmianę rozkazem wszyscy - od kierownika osiedla i kierowniczki gimnazjum aż po tego ojca, który się poprzednio uskarżał - mieli do mnie o to pretensje. Całe szczęście, że napływały jeszcze nowe transporty uchodźców i jeden przywiózł dorosłą kandydatkę na dobrą hufcową.

W moich podróżach po Tanganice zajechałam pewnego razu do Dar es-Salaam na zaproszenie komendantki tamtejszych Girl Guides, które w tym mieście były niemal wyłącznie Hinduskami. Niecodzienny był widok pięknych ciemnowłosych dziewcząt, ubranych w angielskiego kroju mundurki z zarzuconym na nie błękitnym sari. Na nawiązanie jakiejś współpracy z tym ośrodkiem było jednak o wiele za daleko od naszych osiedli.

Do osiedli polskich w Rodezji wybierałam się dosłownie, jak sójka za morze. Ciągle były jakieś trudności - to wizy, to miejsce w samolocie - a zbyt daleko było na inny środek lokomocji. Na wyjazd do Lusaki zakwalifikowano mię dopiero w kwietniu 1944 r. i to nagle. Starało się o ten wyjazd kilka osób z delegatury w Nairobi i była kolejka. Latały na tej trasie jeden raz w tygodniu małe awionetki, biorące tylko po pięciu pasażerów. Pierwszy z naszych na liście był dr Wiktor Bincer, szef sanitarny polskich osiedli. Zgłosił się więc do biura podróży z paszportem i wizami i został postawiony na wadze. Odpadł jako zbyt ciężki. To przyspieszyło nieco mój wyjazd. Nawet nie ważono mojego bagażu, taka była wtedy między nami różnica. W samolocie okazało się, że jechało młode małżeństwo z dzieciątkiem w koszyku i masą bagażu. Piąty mógł pojechać tylko ktoś z "lekkich". Oczywiście nie zdyskwalifikowano nikogo z Anglików lecz Polaka.

W Lusace powitał mię dr Wacław Korabiewicz (5*), zwany jeszcze z czasów wileńskich Kilometrem, który był tam delegatem Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej na obie Rodezje. Przywitało mię też zimno, jakiego nie doznałam dotąd w Afryce. Pora dżdżysta minęła, parowanie obniżyło temperaturę aż do 15 stopni Celsjusza. Zaczęłam od kupienia sobie ciepłego płaszcza.

Jako drużynowa harcerek i zuchów-dziewcząt poznałam Barbarę i Marię Chmielewskie, uczennice liceum. Drużynowych harcerzy nie pamiętam. O całość troszczył się sam Kilometr jako stary harcerz, bardzo zaangażowany uczuciowo w rozwój swojej organizacji. Później został Komendantem Chorągwi Rodezyjskiej.

Dr Bincer dogonił mię w Lusace i wybraliśmy się pod wodzą Kilometra w objazd Północnej Rodezji. Droga wiodła na północ przez Broken Hill do polskiego osiedla Bwana Mkubwa i dalej do następnego osiedla Abercorn w pobliżu południowego krańca jeziora Tanganika. Stamtąd ku północnemu krańcowi jeziora Nyassa i z kolei na południowy zachód przez Fort Jameson, gdzie mieszkała nieduża grupa Polaków, z powrotem do Lusaki.

Krajobraz suchego lasu tropikalnego był monotonny. Osiedla polskie nieduże. Życie w nich biegło leniwie, a drużyny harcerskie nieliczne - i nie pracowały one z większym temperamentem. Ruszył je dopiero nieco później sam Korabiewicz. Natomiast trzymały się mnie w tym kraju różne przygody.

Chodząc po osiedlu Abercorn oberwałam rzemyk od sandała. Ludzie pokazali mi chatkę, w której mieszkali szewcy. Weszłam. Siedziało na zydlach dwóch górali i waliło młotkami w czyjeś obcasy. Mieli kapelusze na głowach, choć to było pod dachem. Pokazałam mój sandał i zaraz zabrali się do roboty. Po chwili jeden zapytał: "Pani taka uczona i z miasta - czyn nie widziała Pani gdzie naszego Józka Motyki? To był nasz chłopak ze wsi, ale się zbyt dobrze uczył i poszedł do miasta; jest uczonym". Tak się składało, że doc. dr Józefa Motykę poznałam juz w 1937 r. na Zjeździe Przyrodników i Lekarzy we Lwowie i co więcej, widziałam się z nim w tym mieście jeszcze w 1940 r. Mogłam więc powiedzieć tym prostym ludziom z Konclowej koło Grybowa, że ich uczony przyjaciel był jeszcze w

połowie 1940 r. cały i zdrów (6*). Mało nie płakali z radości. Za sandał nic nie wzięli.

Następna przygoda była mniej wesoła. Minęliśmy już Fort Jameson, do Lusaki było już niezbyt daleko, gdy popsuł się nam samochód i nie dał się naprawić. Ktoś musiał iść sprowadzić pomoc. Ale kto? Wieźliśmy do Lusaki starszego księgowego z Port Jameson; ten odpadał z racji wieku. Kilometr otarł nogę do kości i też nie wchodził w rachubę. Czarny kierowca na propozycję wyjścia z samochodu na pustyni zatrząsł się ze strachu. "Tu chodzą lwy"! - i zatrzasnął drzwi samochodu. Pozostaliśmy we dwójkę z dr Bincerem jako jedyni kandydaci na bohaterów i na kolację dla lwów. Dochodziła piętnasta, było tylko trzy godziny do zmroku, trzeba było ruszać natychmiast. Zostawiliśmy w samochodzie wszystko, co było do jedzenia i picia. Poszliśmy z jednym ręcznikiem i jednym mydłem, tylko z dwiema szczoteczkami do zębów i chustkami do nosa.

W piasku pustynnym z trudem wyszukiwaliśmy nikłe ślady kół samochodowych, dopatrywaliśmy się zgnieceń na rzadko trafiających się wątłych roślinkach. Szliśmy te trzy godziny bez przestanku, nawet nie mówiąc do siebie. I doszliśmy do osady przed samą szóstą, na nasze szczęście. Były to warsztaty naprawy samochodów i "hotel" dla podróżnych składający się z obozu pod namiotami i kilku małych chatek. Prowadziły go siostry zakonne szarytki. "Wybierzcie sobie miejsce na nocleg" powiedziała polska siostrzyczka (bo gdzie polskich nie ma?). Przyniosę Wam coś do picia". Wybraliśmy dwa co ładniejsze namioty. "Nic podobnego" oświadczyła zakonnica, gdy wróciła z herbatą. "Śpicie w jednym namiocie i to w środku obozu. Wczoraj w nocy był tu lew. Rozwalił dach tamtej chatki i uniósł w pustynię śpiącego murzyna". Rzeczywiście przenocowaliśmy razem, ale o spaniu nie było w tych warunkach mowy. Rano najęliśmy ciężarówkę, która ściągnęła nasz samochód i wszyscy razem wróciliśmy do Lusaki autobusem.

Jeszcze jedno dziwne zdarzenie miało miejsce w czasie pobytu w Rodezji Północnej. Do Afryki przyjechała ekipa wizytacyjna z Komendy ZHP na Wschodzie w składzie: hm. Wiktor Szyryński - wizytator, i instruktorzy: hm. Józef

Brzeziński, phm. Ignacy Kozioł, phm. Romuald Rzędzian i phm. Zenobiusz Słowikowski.

Mieli oni wreszcie, po długim oczekiwaniu, podeprzeć moje samotne wysiłki instruktorskie na Czarnym Lądzie. Po prawie trzech latach oczekiwania na jakąkolwiek fachową pomoc, jednego choćby instruktora, od razu przyjechała ich cała ekipa.

Do Nairobi przyjechali pod moją nieobecność. Niemal natychmiast udali się do osiedli prowadzić kursy instruktorskie. Hm. Szyryński z phm. Rzędzianem (instruktorem zuchowym) i phm. Koziołem pojechali do Ugandy, a hm. Brzeziński i phm. Słowikowski (instruktor zuchowy) dogonili mnie w Lusace. Brzeziński prędko wyjechał do południowej Rodezji, a ja zostałam prowadzić wychowanie harcerskie na obozie drużynowych zuchów (dziewcząt i chłopców), zorganizowanym przez Zenka Słowikowskiego . Był on rzeczywiście wspaniałym instruktorem zuchowym, autorem pięknego podręcznika, chyba pod tytułem "Cykle zuchowe". Po kursie wróciłam do Nairobi aby spotkać się z Szyryńskim. Do Rodezji nie wróciłam już nigdy. Moje marzenie, żeby zobaczyć Wodospady Wiktoria, nie spełniło się nigdy.

W drugiej połowie 1944 r. odbyło się w Afryce wiele kursów instruktorskich. Organizowano je przeważnie dla harcerzy z dwu lub najwyżej trzech osiedli, aby uniknąć zbyt dalekich przejazdów młodzieży. Osobiście, oprócz kursu zuchowego w Lusace, brałam udział w prowadzeniu kursu instruktorskiego w Tengeru. Uczestniczyło w nim też kilka harcerek z pobliskiego osiedla Kondoa. Komendantem kursu był hm. Szyryński, a komendantami obozów harcerzy i harcerek byli phm. Kozioł i ja. Kurs był niezmiernie ciekawie prowadzony. Jak to zwykł był robić dr Szyryński, zajęcia były nastawione na stymulowanie myślenia, na spostrzegawczość, szybkość orientacji i podejmowanie decyzji. Szczególnie pomysłowe były biegi harcerskie.

Niedługo potem przeprowadziliśmy kurs instruktorski w Ifundzie dla drużynowych i zastępowych z tego osiedla oraz sąsiedniej Kidugali i z obozu przejściowego w Morogoro. Kurs ten miał szczególnie mocną obsadę instruktorską: hm. W. Szyryński, - komendant kursu, phm. I. Kozioł - komendant

obozu harcerzy, hm. Z. Wójcik - komendantka obozu harcerek, phm. R. Rzędzian - instruktor zuchowy, phm. ks. Jan Sajewicz (nowy proboszcz Ifundy) - instruktor gier (świetlicowe, boiskowe, polowe). Jako członkinie komendy kursu wspomagały nas jeszcze hufcowe - phm. S. Adamska z Kidugali i phm. Zofia Nieć z Ifundy. Zakończyliśmy kurs ze świadomością wykonania dobrej roboty i w bardzo przyjacielskim nastroju.

A właśnie tego kursu omal nie przypłaciłam kalectwem. W czasie ćwiczeń w wysokiej słoniowej trawie wbiłam sobie w łydkę ostry koniec skośnie uciętego żdżbła. Wyjęłam go od razu i nie myślałam o tym więcej; na mnie na ogół wszystkie ranki przysychały jak na psie. Ale już w drodze do następnego osiedla, Kidugali, przekonałam się, że z nogą jest coś nie w porządku. Wieczorem noga spuchła na objętość wiaderka i na kolację u kierownika osiedla druhowie instruktorzy musieli mię przynieść na "krzesełku" z rąk. Przez noc spuchlizna narastała i objawy zakażenia stały się wyraźne. W Kidugali pracowali już wtedy pp. Zamenhofowie, moi dobrzy znajomi z Kondoa. Niestety jego - właśnie chirurga - nie było, wyjechał bowiem zszywać jakiegoś murzyna poturbowanego przez bawoła czy inne dzikie zwierzę. Pani Oleńka wymacała pęsetą, że w nodze głęboko został kawałek zdrewniałej drzazgi. Nie chciała nogi ciąć, żeby mi nie zostawić dużych śladów, i postanowiła mię leczyć. Nikt mnie przedtem ani potem w ten sposób nie leczył. Na glinianej podłodze szpitalnego pokoju klękałam chorą nogą w podłużnej wanience z bardzo gorącą wodą z nadmanganianem potasu. Pielęgniarka z jednego końca wanienki wybierała chochlą wodę, a do drugiego końca dolewała wrzątek ze stojącego na prymusie kipiącego czajnika. Zdawało mi się, że jestem prosiątkiem, z którego trzeba zdjąć szczecinę. Po trzech dniach tej tortury p. Oleńka bez trudu wyjęła z nogi zmiękły koniec żdżbła. Na ten właśnie moment nadjechał jej mąż-chirurg, już zupełnie niepotrzebny.

Przyjazd dużej grupy instruktorów z wojska ożywił niezmiernie pracę harcerską w Afryce. Na licznych kursach instruktorskich i obozach przeszkolono wiele młodzieży i pewną ilość młodych nauczycielek. Odbyło się też kilka kursów dla nauczycieli na temat wychowania harcerskiego i stosunków "szkoła-

harcerstwo". Instruktorzy ci brali bezpośredni udział w codziennej pracy drużyn i hufców, dzięki czemu mogli pokazać wiele nowych pomysłów i chwytów metodyki harcerskiej, nauczyć nowych gier i zabaw, sposobów prowadzenia zbiórek i przeprowadzania prób na stopnie harcerskie. Rozszerzyli też znajomość obrzędów harcerskich. Mianowano nowych instruktorów harcerskich, pierwszych wychowanych i wykształconych w Afryce. Pociągnęło to za sobą potrzebę i możliwość dokonania dużych zmian organizacyjnych w strukturze afrykańskiego harcerstwa, stanowiącego dotychczas bardzo dużą i niespójną całość.

Trzeba tu teraz nawiązać do ogólnej organizacji uchodźstwa polskiego w Afryce, która od czasu opisanych przez mnie początków też przeszła różne przemiany strukturalne i personalne. Od października 1943 r. działały już w Nairobi dwie delegatury emigracyjnego rządu w Londynie. Obok Delegatury Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej powstała Delegatura Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, której kierownictwo objął p. Seweryn Szczepański, przysłany z Londynu. Sprawy młodzieży i harcerstwa przeszły więc automatycznie z M.P. i O.S. do M.W.R. i O.P., do którego przerzucono i moje stanowisko. Od 16.X.1943 r. byłam więc Okręgowym Instruktorem Harcerstwa, gdyż Delegatura Oświaty miała uprawnienia Kuratorium Okręgu Szkolnego (Afrykańskiego). W osiedlach występowałam zatem nie tylko z ramienia władz harcerskich "na Wschodzie", ale także władz szkolnych mających swoje przedstawicielstwo w Afryce.

Po przyjeździe harcerskiej ekipy instruktorskiej do Afryki uprawnienia okręgowego instruktora harcerstwa przeszły na wizytatora z ramienia Komendy ZHP Wschód, tj. na hm. W. Szyryńskiego, a po jego powrocie do wojska - na hm. J. Brzezińskiego.

Do najważniejszych zmian organizacyjnych w afrykańskim harcerstwie należało wyodrębnienie Chorągwi Rodezyjskiej, która objęła zarówno Północną Rodezję, gdzie harcerstwo rozwijało się już dobrze, jak i Południową Rodezję, gdzie polskie osiedla i drużyny harcerskie były dopiero w stadium organizacji. Nastąpiło to w połowie 1944 r. Komendantem Chorągwi został dr Wacław

Korabiewicz, Ja pozostałam przy Chorągwi Wschodnioafrykańskiej, działającej na obszarze Ugandy i Tanganiki, a więc obszarze, który znałam najlepiej i najwięcej mogłam tam zrobić. W krótkim czasie Chorągiew Wschodnioafrykańska została jeszcze podzielona na Chorągiew Ugandyjską, której komendę objął phm. Ignacy Kozioł i Tengenicką, przy której zostałam jako komendantka.

Stan liczbowy i organizacyjny Harcerstwa Polskiego w Afryce podlegającej Delegaturze w Nairobi w połowie lat czterdziestych, a więc w okresie największej stabilności polskich osiedli uchodźczych, szkolnictwa polskiego i działających w osiedlach tych drużyn harcerskich przedstawia tabela 1. Nie jest to niestety stan na jakiś określony dzień - jeden dla wszystkich. Takiego zestawienia nie mogłam zrobić z braku odpowiednich danych. Oficjalne dokumenty chorągwi i hufca zostały w Afryce w rękach tych, którzy objęli po mnie funkcje w Delegaturze Oświaty i w Komendzie. Tabela ta jest zatem pewnego rodzaju kompilacją i próbą dokonania własnej oceny.

Dane charakteryzujące liczbę mieszkańców w osiedlach polskich zaczerpnęłam od Korabiewicza z jego książki "Gdzie słoń a gdzie Polska".(1980). Cyfry odnoszące się do Chorągwi w Tanganice są zupełnie ścisłe (z tym, że zaokrąglone do dziesiątek); pochodzą one z zachowanej kopii mego ostatniego raportu jako Komendantki Chorągwi i przedstawiają stan organizacyjny i liczbowy na 30.IX.1945 r.).

Dane odnoszące się do stanu Chorągwi Ugandyjskiej i Rodezyjskiej są zestawieniem wszystkich wiadomości, jakie udało mi się wyszukać tu w Polsce, przy czym cyfry dotyczące harcerek i zuchów-dziewcząt są ściślejsze, a jest to ważne, gdyż dziewcząt w Afryce było znacznie więcej niż chłopców.

Korzystając z tego, że nie byłam już jedynym instruktorem harcerskim w Afryce i że uprawnienia instruktora okręgowego harcerstwa przejął wizytator z ramienia Komendy ZHP Wschód, poprosiłam o przeniesienie mnie z pracy w delegaturze do pracy w szkolnictwie. Bałam się, że jeśli więcej jeszcze lat upłynie od momentu ukończenia przez mnie studiów przyrodniczych (1938 r.), nie będę się już zupełnie nadawać do pracy, do której mię te studia przygotowały. Nauczycieli

Tabela 1.
Harcerstwo w osiedlach polskich w Afryce w latach 1944 - 1946 .

Lp.	Nazwa osiedla i hufca	Liczba mieszkańców *	Liczba zorganizowanych w ZHP **	
			Harcerek i zuchów dz.	Harcerzy i zuchów chł.
1	Masindi	3640	700	350
2	Koja	2800	300	130
	UGANDA łącznie	6440	1000	480
3	Kigoma	190	brak danych	brak danych
4	Tengeru	4020	700	145
5	Morogoro	410	30	15
6	Kondoa	430	65	60
7	Ifunda	780	150	50
8	Kidugala	800	200	80
	TANGANIKA łącznie	6440	1145	350
9	Abercorn	560	110	95
10	Fort Jameson	170		
11	Bwana Mkubwa	1180	210	80
12	Lusaka	970	150	70
	RODEZJA PN łącznie	2880	470	245
13	Marandellas	620	70	60
14	Rusape	730	100	65
15	Digglefold	90	brak danych	brak danych
	RODEZJA PD łącznie	1440	>170	>125
16	Outshoorn (ZWIĄZEK AFRYKI POŁUDNIOWEJ)	530	brak danych	brak danych
	Polacy poza głównymi osiedlami	330	brak danych	brak danych
	Ogółem Polacy w posiadłościach brytyjskich w Afryce	18250	>2785	>1200
	W tym: mężczyźni	2030	łącznie w ZHP ***	
	kobiety	6320	>3985	
	dzieci i młodzież	7900		

* Stan na koniec 1944 r. (wg Korabiewicza 1980).
** Liczby odnoszą się do lat największego rozwoju harcerstwa w Afryce; liczby te zmieniały się wraz z ruchami ludności, tzn. przyjazdami, odjazdami, przejazdami z osiedla do osiedla, poborem do Wojska Polskiego.
*** Liczby nie obejmują instruktorów z komend chorągwi i hufców.

szkół średnich bardzo brakowało. Wyjechałam więc do największego z osiedli, Tengeru, i 1.II.1945 r. podjęłam pracę w gimnazjum i liceum ogólnokształcącym oraz na krótko w gimnazjum kupieckim. Rok szkolny w Afryce pokrywał się z rokiem kalendarzowym i trwał od 1.II. do 15.XII. z przerwą miesięczną w środku.

Powierzono mi jako główny przedmiot geografię we wszystkich klasach gimnazjum, a biologię tylko w pierwszej licealnej. W programie tej klasy była biologia ogólna i dyrekcja szkoły uznała, że nie powinna tego przedmiotu uczyć dotychczasowa nauczycielka, która nie miała uniwersyteckiego wykształcenia w tym zakresie. Co do mnie uważano, że jestem jeszcze młoda i mogę się wszystkiego nauczyć. Moje wykształcenie geograficzne było wątłe. Składało się z takich tylko elementów: Ojciec mój był geologiem, geologia była więc tematem naszych wycieczek z ojcem w dzieciństwie i częstych rozmów przy rodzinnym stole. Wykładano ją też w dwu różnych zakresach na rolnictwie i na botanice, które studiowałam na Uniwersytecie Poznańskim. Na tych wydziałach wykładano też klimatologię i gleboznawstwo (na rolnictwie) oraz geografię roślin i ochronę przyrody (na botanice). Wycieczki harcerskie pokazały mi Polskę i dały znajomość map topograficznych. Przymusowe wojenne wędrówki pokazały mi świat od koła polarnego i poza równik - ale głównie z okien pociągu. Tyle o moim fachowym przygotowaniu w tym zakresie.

Powierzano mi też chętnie i inne przedmioty. Uczyłam więc chemii, zagadnień życia współczesnego, astronomii, propedeutyki filozofii i oczywiście w następnych latach - swoich własnych przedmiotów: botaniki, zoologii i anatomii człowieka w klasach gimnazjalnych. W tych warunkach start nauczycielski był bardzo trudny,
zwłaszcza że miał miejsce przeszło cztery lata po ukończeniu studiów i bez dostępu do jakichkolwiek bibliotek. Ale wielu nauczycieli w osiedlach afrykańskich musiało zaczynać podobnie.

Przy dużych obowiązkach szkolnych, utrudnionych jeszcze przez brak podręczników, atlasów, map ściennych i innych pomocy szkolnych, nie miałam możności wizytowania hufców harcerskich, nawet tych stosunkowo bliskich, w

obrębie Tanganiki. Zrezygnowałam zatem z funkcji Komendantki Chorągwi i objęłam funkcję hufcowej w Tengeru po druhnie Grosickiej, która poprosiła o zwolnienie. Po dziś dzień nie mogę uwolnić się od myśli, że zrezygnowała ona z kierowania hufcem, który z dużym pożytkiem prowadziła przez kilka lat, dlatego tylko, że przyjechałam do osiedla. Myślę, że była to duża szkoda. Funkcję Komendanta Chorągwi w Tanganice objął phm. Jan Barycz, instruktor harcerski, który jako jedyny przyjechał z Londynu, z Naczelnictwa ZHP poza granicami Kraju. Przyjechał on jednak nieco później do Afryki niż pozostali instruktorzy.

Praca harcerska w Tengeru.

Tak więc w pierwszym roku pracy w Tengeru łączyłam obowiązki nauczycielki gimnazjum i liceum z funkcją komendantki Chorągwi Wschodnioafrykańskiej, a później Tanganickiej. Był to właśnie ten okres, o którym Madzia Jarosz w swojej relacji z działalności harcerskiej w osiedlu Tengeru pisze, że "Komendantka Chorągwi...nie uczestniczyła.... w naszych marszach, musztrach, biegach czy obozach..." Bardzo się wtedy starałam nie ingerować bezpośrednio w życie dobrze prowadzonego hufca i być komendantką jednakową dla wszystkich hufców chorągwi.

Inaczej sprawa wyglądała w ciągu następnych dwu lat, kiedy osobiście prowadziłam Hufiec Harcerek w Tengeru. Hufiec Harcerzy objął wtedy dh Henryk Brzostowski. Całe dnie od świtu do nocy wypełniała mi w tym czasie młodzież tego dużego osiedla. Od ósmej rano były to lekcje w gimnazjum i liceum. Popołudniu i wieczorem - zbiórka, odprawy, ogniska i kominki harcerskie. Na ogół od dziewiątej wieczorem przygotowywałam lekcje na dzień następny. Często po północy zasypiałam z głową na atlasie geograficznym i dopiero nocne zimno budziło mnie i zmuszało do pójścia spać.

Od 1943 r., kiedy po raz pierwszy zetknęłam się ze środowiskiem harcerskim Tengeru, zmieniło się tu wiele. Starsze dziewczęta z tamtych czasów zmieniły się w dorosłe panny i pracowały. Na przykład Hanka Korf zdała maturę

(pierwszą w osiedlu) i pracowała w naszym gimnazjum, ucząc niższe klasy języka polskiego. Staszka Dźwigała była pielęgniarką w osiedlowym szpitalu - itd. Dziewczęta kiedyś młodsze kończyły gimnazjum lub nawet były w liceum. Wśród drużynowych i innych szarży pojawiły się nowe twarze. Do bardziej interesujących postaci należały: Irena Krążyńska, drużynowa drużyny gimnazjalnej; inna drużynowa, Luna (Łucja) Boniewicz, Hela Jopek, sekretarka hufca, Hela Chojnacka, kierująca pracą zuchów-dziewcząt, dziewczęta z Ifundy, a wśród nich przed wszystkim Zośka Macheta, późno przybyła do Tengeru Dziunia (Zdzisława) Rewaj i wiele innych.

Z młodszych na wspomnienie zasługuje Jaśka Bajak, zastępowa "Nosorożców", najdzielniejszego zastępu w drużynie gimnazjalnej. Ta grupka drobnych dziewcząt zdolna była do każdej najtrudniejszej pracy. Nawet sprzątnięcie magazynu harcerskiego z poprzenoszeniem wielkich wojskowych namiotów i wypędzenie z niego szczurów nie było dla nich zbyt ciężkie. Dystansowały nieraz chłopców i starsze dziewczęta, które się przed takimi zadaniami cofały z przerażeniem. To właśnie były moje umiłowane dzieci z pierwszej żeńskiej, która mi się dostała jako wychowawczyni w pierwszym roku nauczania w Tengeru. Choć z czasem wydorośłały, a mnie dostała się inna klasa, na zawsze pozostały moimi dziećmi.

Pisząc o harcerstwie w Tengeru z lat 1946 /47 trzeba się zatrzymać na osobie Jasia Barycza. Gdy objął funkcję komendanta Chorągwi Harcerskiej w Tanganice, "zagnieździł" się w Tengeru. Jeździł po innych osiedlach, oczywiście, ale serce ciągnęło go do tego do tego największego z naszych osiedli. Wiadomo - Irka Krążyńska. Przebywając dużo w osiedlu wspomagał znakomicie pracę obu hufców. Był pomysłowy i przedsiębiorczy, doskonały w trudnych warunkach. Myślę, że wiele zrobił za hufcowych.

Dysponując już w tym czasie znaczną ilością sprzętu obozowego, starałyśmy się, a właściwie staraliśmy się, bo chłopcy robili to samo, urządzać obozy dwa razy do roku. Było to możliwe, gdyż wielkie wakacje po zakończeniu roku szkolnego trwały od 15.XII. do 2.II. Wystarczało więc czasu na dwa turnusy

obozowe po Świętach Bożego Narodzenia. Drugie wakacje, trwające cały miesiąc , były między pierwszym a drugim półroczem w lipcu. Można było zorganizować przynajmniej jeden obóz.

Z największym wzruszeniem wspominam mój pierwszy obóz, który prowadziłam w styczniu 1946 r. w Loliondo, choć zakończył się on dramatycznie.

Były to właściwie trzy zupełnie samodzielne obozy, rozłożone w niedużej odległości od siebie. Każdy miał własną komendantkę i własną oboźną, a także gospodynię. Prowadził oddzielne zajęcia obozowe, gotował i spożywał posiłki, urządzał ogniska. Spałam w jednoosobowym namiocie (pożyczonym od Jasia Barycza) w obrębie obozu najmłodszych harcerek. W dzień nie robiłam nic. Chodziłam, można by powiedzieć, z kąta w kąt, gdyby były kąty. przyglądałam się co dzień życiu innego kolejno obozu. Wieczorem miałam w tym obozie gawędę przy ognisku o tym co widziałam w ciągu dnia. Na czwarty dzień wracałam do pierwszego obozu i tak do końca.

Przyrzeczenie harcerskie, które przyjmowałam na tym obozie, było dla mnie jednym z najmocniejszych przeżyć w Afryce. Pamiętam czarne błyszczące oczy Marysi Podoskiej, jednej z najmłodszych w drużynie gimnazjalnej, szeroko otwarte w chwili wymawiania roty przyrzeczenia. Spotkałam ją po wojnie w Warszawie w szarym, szorstkim habicie zakonnicy, ale jej oczy były takie same - żarliwe.

Znacznie dalej, w długim niskim budynku należącym do jakiejś farmy, była w tym czasie kolonia zuchów-chłopców. Prowadził ją namiestnik zuchowy, Andrzej Jagielski, licealista, z pomocą kolegi z tej samej klasy, Ernesta Myka. Dojeżdżał do nich często Janek Barycz, wtedy już komendant chorągwi.

Po zakończeniu obozów i kolonii miała na te same miejsca przyjechać druga zmiana: harcerze na obóz i zuchy-dziewczęta na kolonię. Zwinęłyśmy obóz i spakowałyśmy dobytek, po czym wysłałyśmy do Tengeru pierwszą ciężarówkę z dziewczętami i sprzętem. Wkrótce ciężarówka wróciła i pojechały nią uczestniczki drugiego obozu. Czekałyśmy długo, ale ciężarówka nie wracała. Było już tak późno, że zaczęto się denerwować też na kolonii zuchowej, która jako mieszkająca

w budynkach miała wracać ostatnia. Przebywający tam właśnie Janek nie wytrzymał, dopadł samochodu komendanta osiedla i przyjechał do nas. Zdecydowaliśmy jechać natychmiast do Tengeru. A tam cała droga od bramy osiedla do szpitala obstawiona była harcerzami w niebieskich obozowych chustach, krzyczących, że samochód się wywrócił, a dziewczęta są w szpitalu. Podjechaliśmy pod szpital, w którego drzwiach czekał już na mnie naczelny lekarz, dr Tworkowski. "Miała Pani szczęście - ani jednego ciężkiego przypadku, jeden lekki szok, jeden złamany palec, kilkanaście zadrapań, już opatrzonych". Wtedy dopiero ugięły się pode mną kolana.

Wypadek wyglądał następująco. Ciężarówka minęła właśnie rzekę bez mostu, którą brało się serpentyną, najpierw stromo w dół, a potem do góry. Kierowca z ulgą odetchnął na prostej drodze, a wtedy akurat wpadł mu prawie pod koła murzyn. Chcąc go ocalić, kierowca skręcił gwałtownie, ale samochód wywrócił się do góry kołami, wysypując do przydrożnego rowu całą "zawartość", w tym dwadzieścia kilka harcerek z obozu. Całe szczęście, że rowy w Afryce Równikowej są szerokie i głębokie, aby mogły pomieścić opady w porze deszczowej. Szerokość rowu, jak się okazało, była w tym miejscu akurat taka jak szerokość pudła ciężarówki i to zadecydowało o nieoczekiwanie szczęśliwym zakończeniem przygody.

Nieszczęścia chodzą jednak parami. Po obozie okazało się, że jedna z drużynowych, urocza Luna Boniewicz, zachorowała na malarię mózgową. Chorowała bardzo długo, a jeszcze dłużej powracała do sił. Od tego czasu urządzaliśmy obozy w innych, wyżej położonych, zdrowszych, okolicach.

Na stokach góry Meru było chłodniej i nie było komarów malarycznych. Obóz harcerek i obóz harcerzy rozbijaliśmy w małej od siebie odległości. Tak było bezpieczniej. Chodziliśmy stamtąd na długie wycieczki prowadzone przez farmerkę, na której posiadłości znajdowały się nasze obozy, i obserwowaliśmy zwierzęta. Dużo było nosorożców, które z wysokich urwisk góry Meru można było bezpiecznie obserwować. Pasły się poniżej, obrywając ostrożnie najdelikatniejsze końce gałązek. Na początku grupy idącej na takie wzrokowe polowania szedł

zawsze ktoś z bronią na grubego zwierza, ale nie strzelał. Raz w nocy przyszły do obozu słonie. Na szczęście nie zgniotły nikogo.

Ostatni przed moim wyjazdem obóz na stokach Meru prowadziła Romka Pleśniewicz, a ja miałam wtedy praktykę w szpitalu. Wizytowałam ten obóz razem z naczelnym lekarzem, który nie dowierzał młodej komendantce i sam chciał ocenić sanitarny stan obozu. Natychmiast po powitaniu i raporcie dr Tworkowski rzucił się do pierwszego z brzegu namiotu i wsunął rękę pod leżący na ziemi materac. Zdrętwiałam. Był to bowiem namiot zastępu Haliny Poleskiej, dziewczyny bardzo buńczucznej, która zawsze miała swoje własne wyobrażenia o tym, po należy robić. Ale mogłam odetchnąć z ulgą - materac leżał na warstwie gałęzi. Później się dowiedziałam, że Romce zabrało kilka dni wytłumaczenie Hali, że gałęzie muszą być pod materacem.

Z innych ciekawych imprez harcerskich wymienię wycieczkę dookoła góry Meru. Cała zasługa zorganizowania i sprawnego przebiegu tej kilkudniowej wycieczki dla starszej młodzieży obu hufców Tengeru przypada Jasiowi Baryczowi. On wpadł na ten pomysł, wystarał się o ciężarówki, uzupełnił sprzęt obozowy. Nawet nie wiem, jak to zrobił.

Wycieczka była wspaniała. Jechaliśmy przez akacjowe sawanny i słone stepy z błyszczącymi taflami soli na powierzchni spękanej ziemi. Rozbijaliśmy namioty wśród kolczastych krzewów i rankiem zwijaliśmy je błyskawicznie. Śpiewaliśmy przy wieczornych ogniskach i w rozpędzonych ciężarówkach. Było pięknie.

Godna uwagi była jeszcze jedna impreza obu hufców z Tengeru, w której niestety nie wzięłam udziału. Całkowicie przeprowadził ją Janek. Już nie miałam na nią sił, bo moje życie w Afryce nie składało się z samych sukcesów i przyjemności. Myślę tu o kursie drużynowych zorganizowanym w Dar es-Salaam nad Oceanem Indyjskim. Oczywiście dziewcząt było na nim znacznie więcej niż chłopców, odpowiednio do stosunków liczebnych wśród ludności polskiej w Afryce. Wiem od moich dziewcząt, że wyniosły z kursu dużo harcerskiej wiedzy i jeszcze więcej radości życia.

Jakimś ukoronowaniem obozów harcerskich i kursów instruktorskich w Afryce Wschodniej była Konferencja Instruktorska pod Nairobi w kwietniu 1946 r., zorganizowana i prowadzona przez hm. J. Brzezińskiego. Wśród wygłoszonych przez uczestników konferencji referatów na szczególną uwagę zasługiwał piękny referat phm. Słowikowskiego o cyklach sprawności zuchowych.

To co dotychczas napisałam o życiu harcerskim w Tengeru, odnosi się głównie do dziewcząt. Chciałabym jednak parę słów poświęcić chłopcom, zwłaszcza tym, z którymi się najbardziej przyjaźniłam, tj. Kręgowi Wodzów Zuchowych. Z tymi chłopcami przeżyłam kilka mocnych chwil.

Namiestnik zuchowy, Andrzej Jagielski, zaprosił mię pewnego razu na radę Kręgu Wodzów. Chcieli oni wysłuchać mojej opinii o sprawach, które były dla nich ważne. Choć należeli do hufca prowadzonego przez dha Brzostowskiego, po pomoc przychodzili do mnie. Drużynowe zuchów-dziewcząt były od nich dojrzalsze i doskonale sobie radziły swoją własną pracą, ale były jeszcze zbyt młode, żeby ci chłopcy mogli do nich przyjść ze swymi kłopotami.

Druh, który zagajał dyskusję, postawił sprawę w ten sposób: czy chłopców, którzy grają w pieniądze z murzynami o ścianę damskiej ubikacji i kradną gołębie, trzymać w gromadach zuchowych i starać się z nich zrobić porządnych ludzi, czy też wyrzucać ich, żeby nie psuli innych. Tak postawiony problem może się komuś wydawać śmieszny, ale bynajmniej śmiesznym nie był. Chodziło tu o wszystkie najbardziej zakazane postępki, jakich się mógł dopuścić ośmioletni chłopiec w warunkach uchodźczego osiedla pod równikiem. Równocześnie krył się w tym jeden z najpoważniejszych problemów pedagogicznych, nie rozwiązanych do końca w żadnym systemie wychowawczym. Borykają się z nim wszystkie szkoły i organizacje młodzieżowe świata, a także i prawodawstwo. Ci czternastoletni wodzowie zuchów ze swym dwudziestoletnim namiestnikiem stanowili prawdziwie poważną radę pedagogiczną.

Z owym kręgiem wodzów miałam jeszcze inne przeżycie. Podszedł do mnie kiedyś Andrzej ze świeżym numerem "Skauta" (czasopismo harcerskie wydawane przez Komendę ZHP Wschód), w którym był artykuł o Naczelniku

Szarych Szeregów. Nazwisko naczelnika nie było podane, autora artykułu także nie. Andrzej zapytał, czy nie wiem, kto to może być. Przeczytałam o jasnowłosym instruktorze harcerskim z Poznania, najmłodszym harcmistrzu - i nie miałam wątpliwości. Z Florianem Marciniakiem przyjaźniłam się jeszcze w czasach studenckich w AKH (Akademickim Kole Harcerskim). Był moim rówieśnikiem, a ponieważ pracowaliśmy w owym czasie jako jedyni spośród członków tej starszoharcerskiej organizacji w komendach chorągwi, mieliśmy sobie zawsze dużo do powiedzenia. Na wieczornym ognisku kręgu wodzów zuchowych mówiłam więc w tym dniu o Flo - o wszystkim, co wiedziałam o nim sprzed wojny. Mogłam im nawet pokazać kartkę, którą mi przesłał w 1941 r. do Archangielska. Nazywał się wtedy Jerzy Grzegorzewski i tylko maleńkie trzy literki "Flo" wskazywały autora. Nie wiedziałam jeszcze w tym czasie, iż pierwszą wiadomość o tym, że jestem w Afryce i że tam prowadzę pracę harcerską z polską młodzieżą, przyniósł mojej rodzinie w kraju właśnie Flo - już w 1943 r. Otrzymał ją w raporcie o pracy ZHP poza granicami Kraju , przekazanym mu z Naczelnictwa ZHP w Londynie jako zrzut z samolotu.

Wieści z Polski nadchodziły już do nas wcześniej. Wiadomości o upadku Powstania Warszawskiego słuchałam przez radio w obozie przejściowym Morogoro w przeddzień wyjazdu z tamtejszymi harcerzami na kurs instruktorski do Ifundy. Nie łatwo było tego wieczora poprowadzić zaplanowaną gawędę przy ostatnim ognisku.

"Kamienie na szaniec", wydrukowane jeszcze pod pseudonimem, z głównymi bohaterami Wojtkiem i Czarnym zamiast Alka i Rudego, dotarły do nas stosunkowo wcześnie. Pamiętam dha Witka Szyryńskiego, jak stał na ulicy osiedla Tengeru z tą książką w ręce, obracał ją na wszystkie strony i mruczał: "To musiał napisać Olek Kamiński. Tylko Kamyk potrafi tak pisać o harcerzach".

Gdy władze szkolne w Londynie rozpisały konkurs polonistyczny dla wszystkich polskich szkół na uchodźstwie, dały trzy tematy: "Czym chcę być w życiu", "Moje wspomnienia z ojczystego kraju" i "List do żołnierza Armii Krajowej". Inspirowany "Kamieniami na szaniec" nasz tengerski Mirek Krążyński napisał list

propaganda za nie wracaniem do kraju i pozostaniem jak najdłużej w Afryce. Pierwszy transport do Polski (700 osób) wyjechał z Tengeru 12.VIII.1946 r. Zaczęły też wyjeżdżać pojedyncze osoby i drobne grupy do różnych krajów, do rodzin.

Na mnie kolej przyszła w końcu 1947 r. Wyjechałam po zakończeniu roku szkolnego, po maturze i egzaminie wstępnym do gimnazjum. Wyjeżdżałam do Kanady, do brata. Pociąg z małej stacyjki Tengeru ruszał wcześnie rano. Mimo to na stacji było kilkanaście dziewcząt i chłopców , harcerzy i uczniów, z którymi przeżyłam tych kilka lata bogatych w zdarzenia małe i duże, wesołe i smutne, w trudności, kłopoty i wielkie radości. Wyjeżdżałam ze ściśniętym sercem.

Na statek w porcie Mombasa trzeba było czekać półtora miesiąca. Przez ten czas dochodziły do mnie jeszcze wieści z Tengeru. Pisały dziewczęta z mojego hufca, pisali instruktorzy, którzy wrócili do wojska. Z tego miejsca postoju napisałam jeszcze dwa uzasadnienia do wniosków o przyznanie stopnia podharcmistrzyni - Heli Chojnackiej i Romce Pleśniewicz. Informacje o tym, że Heli ten stopień przyznano dotarła do mnie przed wielu laty. O tym, że Romce też stopień podharcmistrzyni przyznano i że objęła po mnie komendę hufca Harcerek w Tengeru, dowiedziałam się natomiast dopiero całkiem niedawno.

Moja afrykańska przygoda dobiegła końca.

W końcu lutego 1948 r. wsiadłam na statek, którym popłynęłam do Nowego Orleanu, w USA, skąd pociągiem pojechałam doToronto w Kanadzie (7*).

POSŁOWIE (8*)

Moja "wielka kariera harcerska" w Afryce wymaga małego komentarza, z cofnięciem się wstecz do moich harcerskich początków.

Do harcerstwa wstąpiłam jako 13-letnia uczennica IV klasy żeńskiego gimnazjum humanistycznego im. gen. Zamoyskiej w Poznaniu. dnia 28.III.1928 r., tj. w dniu założenia w tej szkole drużyny harcerskiej (XIV Żeńska Drużyna

Harcerska im. Emilii Sczanieckiej. Po przeszło czterech latach służby harcerskiej, mimo dużej gorliwości w pracy harcerskiej, wyszłam z drużyny szkolnej jako szeregowa, wprawdzie po przyrzeczeniu i ze stopniem pionierki, ale nigdy nie obdarzona żadną funkcją i z opinią, ze nawet na zastępową byłam zbyt nieśmiała.

Od jesieni 1933 r. należałam do Akademickiego Koła Harcerskiego (tzw.AKH-y), im. Heliodora Święcickiego, koedukacyjnej organizacji akademickiej przy Uniwersytecie Poznańskim. Też nie pełniłam tam żadnej funkcji, brałam tylko udział w pracach społecznych Koła, głównie w prowadzeniu świetlic dla dzieci bezrobotnych. Prawo do prowadzenia niewdzięcznej pracy gospodarczej w świetlicy (dożywianie, odpowiedzialność za wypożyczoną kuchnię ze sprzętem) zdobyłam z trudem, tylko dzięki temu, że nie było innej kandydatki.

W latach 1935-36 byłam skarbniczką Starszoharcerskiego Hufca Harcerek w Poznaniu, zostałam nią przez pomyłkę. Do lokalu AKH przyszło pisemko z Wielkopolskiej Komendy Chorągwi Harcerek, aby druhna Zdzisława Wójcik zgłosiła się do komendantki, hm. Anieli Hołdzianki. Zgłosiłam się w oznaczonym dniu i godzinie, ale w komendzie powstała konsternacja. To nie o mnie chodziło, lecz o moją siostrę, która była drużynową i przewodniczącą żeńskiej grupy AKH, znaną już w komendzie. Sekretarka pomyliła po prostu imiona - Wiesława czy Zdzisława, było jej wszystko jedno.

Komendantka jednak szybko podjęła decyzję. Siostra ma już swój przydział pracy, a ja w tym wieku i przy moim poziomie wykształcenia muszę wreszcie zacząć. I od tej chwili rzeczywiście się zaczęło.

W roku akademickim 1936/37 byłam już członkinią Wydziału Starszoharcerskiego Komendy Chorągwi i wtedy przeszłam intensywne szkolenie instruktorskie. Rok 1937 - Pierwszy Kurs Kierowniczek Obozów dla Starszych Dziewcząt na Buczu; chorągwiany obóz drużynowych w Iwiu i natychmiast w tym samym miejscu obóz drużynowych po próbie; przełom 1937 na 1938 - Kurs-Konferencja Instruktorek Starszych Dziewcząt (głównie program stopnia wędrowniczki) w Bukowinie Tatrzańskiej; rok 1938 - obóz drużynowych po próbie

też w Iwiu; przełom 1938 na 1939 - druga Konferencja Instruktorek Starszych Dziewcząt w Kościelisku.

Od jesieni 1937 objęłam kierownictwo Wydziału Starszych Dziewcząt w Komendzie Chorągwi i pełniłam tę funkcję do końca 1938 r., kiedy uzyskałam urlop z tej funkcji z powodu choroby. Praca moja polegała na wizytowaniu drużyn starszych dziewcząt w kolejnych ośrodkach Wielkopolski i pomaganiu im w układaniu programów pracy. Ponadto brałam udział w pracach programowych na konferencjach organizowanych przez Główną Kwaterę Harcerek oraz na propagowaniu powstających tam programów i pomysłów na obozach drużynowych Chorągwi Wielkopolskiej.

Drugim nurtem mojej pracy harcerskiej w latach uniwersyteckich - nurtem, w który włączyłam się sama (bez niczyjej pomyłki), była propaganda idei ochrony przyrody i harcerskiego przyrodoznawstwa w obrębie Hufca Starszoharcerskiego i na obozach instruktorskich. Ta praca, będąca wykorzystaniem moich zamiłowań i przygotowania zawodowego (studiowałam rolnictwo i botanikę), nauczyła mię bardzo dużo. Ośmieliła mię do tego, co było w mojej młodości najtrudniejsze, tj. do publicznego przemawiania bez względu na ilość i jakość słuchaczy. Znając przedmiot mogłam już przemawiać nawet wobec całej szkoły. Bez tej zaprawy byłabym w Afryce "utonęła" już w czasie pierwszej wizytacji dużego hufca.

A skąd wzięłam się wśród osób, które w 1940 roku odbyły daleką przymusową podróż na północny wschód? Dlaczego mię, zamieszkałą w Poznaniu ogarnęła zsyłka?. Otóż, gdy wybuchła wojna nie miałam żadnego przydziału w pracy harcerskiej, urlopowana od stycznia 1939 r. z powodu niedomogi serca po zakończeniu w ciągu sześciu lat pełnych studiów na dwu wydziałach. Pracą Wydziału Starszych Dziewcząt w Komendzie Chorągwi kierowała wtedy druhna Hanka Nehrebecka. W parę dni po wybuchu wojny pojechałam z moim narzeczonym Mietkiem Steinem do Warszawy do siostry, ale do niej już nie dotarłam. Musiałam zmienić kierunek.

Znalazłszy się na obszarze, który 17 września zajęła Armia Czerwona, udaliśmy się do Lwowa. Jak wiele innych osób w podobnej sytuacji, odmówiliśmy

wzięcia sowieckiego paszportu i staraliśmy się, zresztą bezskutecznie, wrócić na zachód i połączyć z rodzinami. Okazało się to wystarczającym powodem wywiezienia. Zabrano nas z ulicy 29 czerwca 1940 roku. Gdy na pytanie ukraińskiego milicjanta, czy mamy paszporty, odpowiedzieliśmy, że nie mamy, zawołał drugiego i odprowadzili nas wprost na stację kolejową; nawet nie spytali o nazwiska.

Wepchnęli nas do jednego z zapełnionych ludźmi wagonów długiego pociągu, który stał jeszcze dwa dni na stacji, bo ciągle dopychano do niego nowych ludzi. Tym pociągiem, okrężną drogą, kilkakrotnie zmieniając kierunek jazdy dotarliśmy aż za Ural do Świerdłowska, a później cofnęliśmy się z powrotem do Europy i dojechaliśmy do Kotłasu. Z kolei jechaliśmy barkami po Północnej Dźwinie do ujścia Piniegi i w końcu pieszo dotarliśmy do leśnego specposiołka Ustiliszcze, położonego dalej na południowy wschód od ujścia Piniegi, nad mniejszą rzeką. Pracowaliśmy przy budowie dróg przez archangielską tajgę i przy sianokosach na leśnych polankach i przecinkach, kłuci niemiłosiernie przez roje komarów i meszek, przy naszym nie odpowiednim do tej pracy ubraniu. Nie mogąc zarobić na życie i nie mając nic do sprzedania (wzięci z ulicy), ani nie mając nikogo, kto by poszedł na grzyby i jagody, od których roiło się w okolicznych lasach, uciekliśmy z posiołka, kierując się przez tajgę ku południowi. Mietek, choć projektodawca i organizator tej ucieczki, drogi przez tajgę nie wytrzymał. Jemu leśne jagody i nie gotowane grzyby nie wystarczały. Młodzi mężczyźni muszą jeść. Zmarł z głodu na moich rękach w nocy z 30 września na 1 października 1940 r. w dalekiej archangielskiej tajdze.

Wtedy wyszłam z lasu na otwartą przestrzeń, do ludzi, prosić aby mi pomogli Mietka pochować. Zrobili to bez ociągania, ale jednocześnie dali znać milicji, co się stało. Aresztowano mię natychmiast. Następne pół roku (X.1940 - III.1941) przeganiano mnie po głębokim śniegu i czterdziestostopniowym mrozie od jednego do drugiego aresztu tymczasowego, między Kotłasem a Archangielskiem, stolicą obłasti. Od czasu do czasu trafiałam do prawdziwego więzienia (w Kotłasie, Wołogdzie, Archangielsku), gdzie wprawdzie męczyli

nocnymi przesłuchaniami, ciągle podejrzewając o jakiś polityczny spisek, ale było przynajmniej ciepło i jakoś dawali jeść.

Na wiosnę 1942 r. zwolniono mię z więzienia w Archangielsku, przydzielając do pracy fizycznej w ogrodach miejskich, z obowiązkiem cotygodniowego meldowania się na milicji (abym znowu nie uciekła). Któregoś dnia idąc ulicą Archangielska usłyszałam przez megafony ogłoszenie o wybuchu wojny z Niemcami. Jako osoba młoda i bezdzietna zostałam wysłana na roboty w pobliżu frontu fińskiego, a więc w okolice Murmańska. Budowaliśmy drogi przez skały granitowe i grząskie torfowiska murmańskiej lasotundry pod obstrzałem niemieckich samolotów, jak strusie chowając tylko głowy w niskich krzewinkach moroszki i różnych borówek.

Po powrocie z tych robót dowiedziałam się, że jako obywatelce obcego państwa nie przysługiwał mi "zaszczyt" pracy przyfrontowej. Dowiedziałam się też dopiero wtedy (połowa grudnia 1941 r.), że już 30 lipca została zawarta umowa "Sikorski - Majski", na mocy której została ogłoszona tzw. "amnestia" dla obywateli polskich rozrzuconych po specposiołkach, kołchozach, kopalniach, łagrach i więzieniach, oraz że w Archangielsku działa już od jakiegoś czasu Delegatura Ambasady Rządu RP w Moskwie.

Po pewnym okresie starań udało mi się przenieść do pracy w tej Delegaturze. Poszukiwano bowiem osoby z pewnym wykształceniem do prowadzenia sekretariatu. Pracowałam tam od końca marca do końca czerwca 1942 r. Zestawiłam tam, między innymi, kartotekę urodzin, ślubów i zgonów na podstawie sprawozdań z posiołków, w których przebywali zesłani Polacy. Obraz wyłaniający się z tych sprawozdań był wstrząsający. Wynikało z nich, że powymierali w większości starzy ludzie, niemowlęta i dzieci od lat 2 oraz ludzie z zaawansowaną gruźlicą. Pozostali, w zdrowym klimacie tajgi północnej Rosji, trzymali się, na ogół, zdrowo. Informacji z łagrów o losach Polaków nie otrzymywaliśmy.

W pierwszych dniach lipca aresztowano personel wszystkich polskich delegatur od Mińska po Władywostok, w jednym dniu. Na szczęście, po krótkim

czasie (2 czy 3 tygodnie) zwolniono nas na interwencję Ambasady Polskiej w ramach tzw. "amnestii". Wyjechaliśmy ze Związku Radzieckiego podpisawszy poprzednio zobowiązanie, że wyjedziemy, jak tylko uda się najprędzej i nigdy tam już nie wrócimy. Podpisaliśmy to wszyscy z ulgą i radością. Granicę sowieckiego "raju" przekroczyliśmy 5 sierpnia 1942 r.

Przypisy

1*. Informacje o tym jak trafiłam do Archangielska zamieszczono w posłowiu.

2*. Losy rodziny Korzeniewskich w 1943 r. Melchior Wańkowicz w książce pt."Rodzina Korzeniewskich", wydanej w 1944 r. jednocześnie w Rzymie i w Nowym Jorku.

3*. W latach późniejszych przyjechali jeszcze do Afryki delegat J. Gruja oraz jego zastępca W. Kuczyński wraz z żoną.

4*. Odwiedzając w 1995 r. cmentarz żołnierzy polskich pod Monte Cassino znalazłam na ogrodzeniu cmentarza informację, że Jerzy Skolimowski był głównym projektantem tego cmentarza.

5*. W. Korabiewicz – znany pisarz powieści podróżniczych. W 1980 r. opublikował w Polsce książkę pt. "Gdzie słoń a gdzie Polska", która była pierwszą szerszą informacją , choć dalece nie pełną, o losach Polaków w polskich osiedlach uchodźczych w Afryce.

6*. J. Motyka przeżył wojnę i był profesorem na uniwersytecie w Lublinie.

7*. W Kanadzie pracowałam w Departamencie Botaniki na Uniwersytecie w Toronto. W końcu listopada 1948 r. wróciłam do Polski, gdzie przez lata zajmowałam się pracą redakcyjną i naukową w zakresie botaniki i ekologii. Z uwagi na opisaną powyżej działalność w Afryce nie dopuszczono mnie, niestety, do pracy z młodzieżą - ani na uniwersytecie, ani w szkołach średnich - czego mi zawsze brakowało.

8*. Informacje odnoszące się do pobytu w ZSRR opracowałam dopiero w 1997 roku.

Teheran, dnia 15.października 1942 r.

D o

Pana inż. Kazimierza Kazimierczaka

Delegata Min.Pr.i Op.Społ.

w A f r y c e.

Zgodnie z naszą rozmową przez Pańskim odjazdem, skierowuję obecnym transportem p.inż.agronomii i mgr fil.WOJCIKOWNĄ Zdzisławę b.urzędniczkę Delegatury w Archangielsku na ewentualną referentkę młodzieży żeńskiej i męskiej oraz instruktorkę harcerstwa w Centrali.

Znana mi jest jako człowiek wartościowy i obowiązkowy urzędnik, Spodziewam się, że i w pracy opiekuńcuej wykaże te same warzości.

/-/ Prof.Stanisław Kot
Minister
Pełnomocnik Rządu R.P.na Wschód

DELEGATURA
MINISTERSTWA PRACY i OPIEKI SPOŁECZNEJ
za Afr. Wsch. w NAIROBI

Nairobi, dnia 22 lutego 19

467/48

Z A S W I A D C Z E N I E.

Niniejszym zaświadczam, że p.Zdzisława WÓJCIKÓWNA jest współpracowniczką Delegatury w Nairobi w charakterze Referentki Harcerstwa.

Proszę pp.Kierowników naszych Osiedli o umożliwienie p.Wójcikównie jej pracy na terenie Osiedli zapewnienie jej wszelkich możliwych ułatwień i pomocy z tą pracą związanych.-

K. Kaminiarz

M. KAMIENIECKI
DELEGAT MINISTERSTWA
I OPIEKI SPOŁECZNEJ

KOMENDANT
ZWIĄZKU HARCERSTWA POLSKIEGO
NA WSCHODZIE

Kair, 26 .II.1943 r.

Druchna Wójcikówna Zdzisława
Drużynowa po próbie

w N a i r o b i

A F R Y K A

Mianuję Druchnę komendantką Harcerek w Afryce.
Równocześnie powierzam Druchnie do odwołania kierowanie całością pracy harcerskiej w Afryce.

C z u w a j !

KOMENDANT ZWIĄZKU HARCERSTWA POLSKIEGO
NA WSCHODZIE

/ Hm. Sliwiński Walerian Jeremi /

Z A Ś W I A D C Z E N I E

Swierdzam, ze p. Mgr. Zdzisława WÓJCIKÓWNA jest Okręgowym Instruktc Harcerstwa w Delegaturze Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.-



Delegat Min. W.R. i O.P.

:/ S.SZCZEPAŃSKI /:

Nairobi, dnia 6 grudnia 1943.



43.

ZWIĄZEK HARCERSTWA POLSKIEGO
NA ~~Zachodzie~~ WSCHODZIE

I r a k 30.kwietnia...1943r.

K o m i n a c j a .

Do
Druha/hy Zdzisławy
Wójcikowskiej
w Nawoloku

Powiadamiamy Druha/hę, iż uchwałą Rady Z.H.P. na Środkowy Wschód z dnia 16 kwietnia 1943r. zostaje Druh/ha
m i a n o w a n y/a/ Przodownikiem/Przodownicą

Korzystamy by przy tej okazji przesłać Druh/ci/ce najserdeczniejsze życzenia pomyślnych wyników w dalszej harcerskiej służbie instruktorskiej.-

C Z U W A J !

KOMENDANT Z.H.P.
/hm.Wiśniewski Walerian/

PRZEWODNICZĄCY RADY Z.H.P.
/hm.Bielecki Stanisław/

RADA ZHP.NA WSCHODZIE

L.dz.46../45.

Polish Forces M.E.33.

M.p., dnia 9.II.1945 r.

Druhna Wójcikówna Zdzisława

Uchwałą Rady ZHP.na Wschodzie mianowana została Druhna harcmistrzynią z zaliczeniem służby od dnia 1 stycznia 1945 r.

Życzę Druhnie owocnych wyników w pracy harcerskiej i wiele osobistego szczęścia.

Łączę serdeczny uścisk dłoni i nasze CZUWAJ

Wiceprzewodniczący Rady Z.H.P.
na Wschodzie

SZADKOWSKI Z. - hm.



Jerzy Grzegorzewski
Warszawa, ul. Bydgoska 1 m. 6

Zapewne wszyscy o rodzinie Tuwim
martwią się. Jak koniec. Kto
co jak najszczegółowiej opowiedzieć
i życzenie wytrwania.

Ko

СССР
20641-3
ВЭКС
МОСКВА ДОСТАВКА

30
GENERALGOUVERNEMENT

Archangielsk - Petrogradskij Prospekt
m. 115 m.

Edzia Wojciechowa

С. С. С. Р.

Город Архангельск
Петроградский проспект
Дом н. 115 кв. 5

Вуйтик Здислава Казимировна

26521

Warszawa, 3.6. 1941

Kochana Zdziecho!

Przesłałam Ci adres mojej znajomej p. Kowalskiej Peltier, Szanghaj Grosvenor 201. Napisz zaraz do niej, bo powołuję się i poproś o wszystko co Ci jest potrzeba, dowiedz się Ci przyśle z paczką. Zrób to zaraz jak tylko otrzymasz moją kartkę.

Los odebrał nas mnóstwo kilometrów i ogromną mylami jednak jesteśmy bardzo blisko Ciebie i mocno wierzymy, że myślisz o nas serdecznie i obawiamy. My wszyscy też jesteśmy powodzeniami dużymi odległościami, ale wszyscy dajemy radę. Zdziecho, pisz do Ciebie różnorodnie kartkę z Krakowa. Powodzi jej się dobrze tylko tęskni mocno za Tobą i Ciotkiem. Córeczka jej Danusia, bardzo miła dziecko 7-mio miesięczne dobrze się chowa. Żyjąc u nas trudno, z jej mężem na przedmiotem coraz gorzej, ale jakoś radzi dajemy radę i trzymamy się. Pisz wszystko Ciotka i mnie mamy, bo bardzo się o Ciebie martwimy i o Tobie, nam też opisuj wszystko i trzymaj się

Dyrekcja
Państwowego Koedukac. Liceum Humanistycznego
i Gimnazjum Ogólnokształcącego
im. Króla Stefana Batorego
w TENGERU, - *TANGANYIKA - E.A.*

L.dz:325/47 Tengeru, dnia 16 grudnia 1947r.

Zaświadczenie pracy.

Dyrekcja Gimnazjum Ogólnokształcącego i Liceum Humanistycznego i Matematyczno -Fizycznego w Tengeru zaświadcza, że P.Inż.Zdzisława Wójcik pracowała w tut.Zakładzie w charakterze nauczycielki od dnia 1.II.1945r. - do dnia 15.XII.1947r.

Wymiar godzin:

Rok 1945.
geografia - Ib,IIab,IIIab,IVab - 13 godz.
biologia - I lic. - 2 " - Łącznie godz.15 tyg.
Rok 1946.
biologia - Iab lic. - 4 godz.
chemia - II lic. - 2 "
prop.fil. - II lic. - 3 "
zag.ż.wspóz.I ab lic.- 4 "
geografia - IV abc, - 4 "
III - 3 " - Łącznie 20 godz.tyg.
Rok 1947r.

zoologia - Ia - 3 godz.
botanika - IIab- 6 "
anatomia - IVab- 4 "
biologia -Iab lic. 4 godz.
chemia - II ab lic. 6 godz. - Łącznie 23 godz.tyg.

P.Inż.Wójcik w pracy swej wykazała gruntowną znajomość wykładanych przedmiotów, duże zdolności dydaktyczne i umiejętne podejście do młodzieży.

P.Inż.Wójcik dzięki sumiennej i dokładnej pracy osiągnęła pozytywne wyniki nauczania.

PAŃSTW. LICEUM I GIMNAZJUM TENGERU.

Mgr.Dorosz Wanda
dyrektor

DELEGATURA
Ministerstwa Wyznań Relig. i Oświec. Publ.
POLISH BOARD OF EDUCATION.
P. O. Box 1969
NAIROBI.

L. dz. 318 / 47

NAIROBI, dnia 8 stycznia 1948 r.

Pani Inż. Zdzisława W O J C I K,
nauczycielka Gimnazjum Ogólnokształcącego
i Liceum Humanistycznego

w T E N G E R U.

W związku z wyjazdem Pani do Kanady przyjmuję do wiadomości rezygnację Pani ze stanowiska nauczycielki Gimnazjum Ogólnokształcącego i Liceum Humanistycznego w Tengeru /Tanganyika/ z dniem 15 grudnia 1947 r.

Jednocześnie stwierdzam, że:

1/ od 19 grudnia 1942 do 15 października 1943 pracowała Pani jako referentka spraw harcerskich w Delegaturze Min. Pracy i Opieki Społecznej w Nairobi,.

2/ od 16 października 1943 do 31 stycznia 1945 r. zajmowała Pani stanowisko Okręgowego Instruktora Harcerstwa w Delegaturze Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w Nairobi,

3/ od 1 lutego 1945 do dnia 15 grudnia 1947 r. była Pani nauczycielką w Gimnazjum Ogólnokształcącym i Liceum Humanistycznym w Tengeru.

Szkolnictwo polskie i harcerstwo w Afryce traci w Pani jednego ze swych ideowych i ofiarnych pracowników. Życząc Pani pełnego powodzenia w dalszym marszu do prawdziwie Wolnej i Niepodległej Ojczyzny, składam Pani w imieniu służby i moim własnym, szczere podziękowanie za mozolną i gorliwą pracę nad kształceniem i wychowaniem naszej młodzieży.

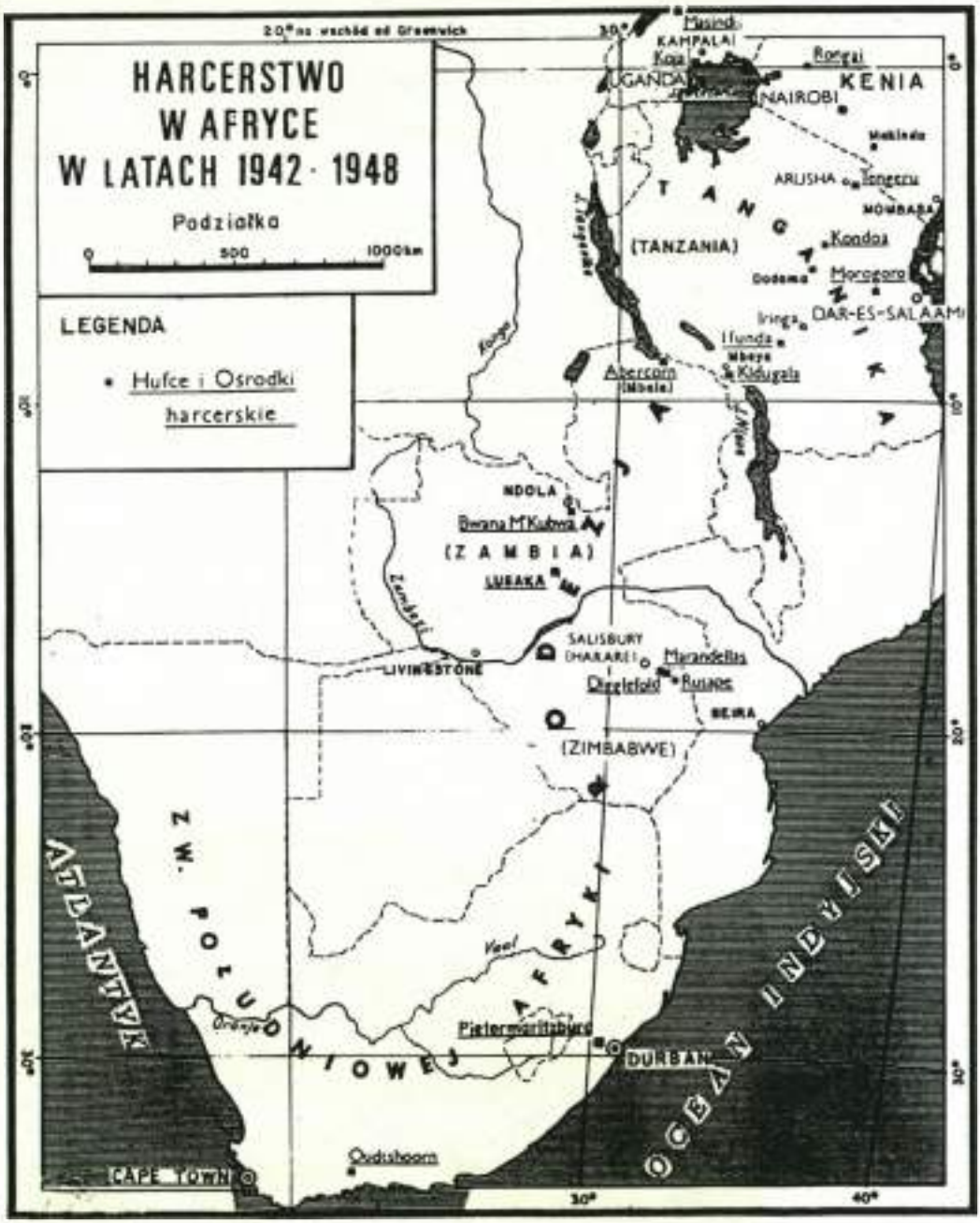
Delegat
Ministerstwa W.R. i O.P.
/-/ S.SZCZYPAŃSKI.

Lista kopii dokumentów

1. Skierowanie Z. Wójcik przez prof. St. Kota do pracy w Nairobi
2. Zaświadczenie z pracy w Delegaturze Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej.
3. Nominacja na Komendantkę Harcerek w Afryce.
4. Zaświadczenie o pracy w Delegaturze Ministerswa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego.
5. Karykatura wizytującej Komendantki Harcerek w Afryce.
6. Niminacja na podharcmistrza.
7. nominacja na harcmistrza.
8. Pocztówka od Floriana Marciniaka.
9. Zaświadczenie z pracy w Gimnazjum i Liceum w Tengeru.
10. Zaświadczenie Delegatury Ministerstwa Wyznań Rel. i Oświec. Publ. w Nairobi.

Fotografie:

1. Drużynowa po próbie, Zdzisława Wójcik, podejmująca pracę harcerską w Afryce, styczeń 1943r. Autorka wspomnień.
2. Phm. Wanda Swarowska, Hufcowa Harcerek w Masindi, 1946 r.
3. Phm. Stanisława Adamska, Hufcowa Harcerek w Kidugali, 1946 r.
4. Phm. Feliksa Morawska, Hufcowa Harcerek w Koji 1946 r.
5. Phm. dr Wacław Korabiewicz, Komendant Chorągwi w Rodezji.
6. Hm. dr Wiktor Szyryński, wizytator Wychowania Harcerskiego w Afryce.
7. Hm Józef Brzeziński - wizytator Wychowania Harcerskiego w Afryce.
8. Phm. Zenobiusz Słowi instruktor zuchowy.
9. Phm. Romuald Rzędzian instruktor zuchowy.
10. Phm. Ignacy Kozioł instruktor harcerski.
11. Phm. Jan Barycz -Komendant Chorągwi w Tanganice.
12. Inż. W. Kuczyński, komendant obozu wita prof. St. Kota, Ministra Pełnomocnika dla Spraw Wschodu, wizytującego obóz.
13. Delegat Min. Pracy i Opieki Społecznej, inż. Kazimierz Kazimierczak w otoczeniu pracowników Delegatury w Nairobii.
14. Osiedle polskie w Masindi. Ulica w wiosce "Babiniec".
15. Baobab w pobliżu osiedla Kondoa.
16. Obóz harcerzy z Tengeru na stokach góry Meru. Podniesienie polskiej flagi pod równikiem, 1945 r.
17. Rada Hufca Harcerek w Masindi z Hufcową, Wandą Swarowską pośrodku.
18. Harcerki z Hufca Tengeru, przed zapaleniem ogniska, na pierwszym obozie harcerskim w 1943 r.
19. III Drużyna Harcerek w czasie defilady, 1943 r. Drużynę prowadzi Irena Krążyńska.
20. Wyjazd dhny Zdzisławy Wójcik z Tengeru, z zarazem i z Afryki. Pożegnanie z Radą na "Tengeru".


HARCERSTWO
W AFRYCE
W LATACH 1942 · 1948
Podziałka
500
1000km
LEGENDA
Hufce i Ośrodki harcerskie
20° na wschód od Greenwich
KAMPALA
Kisumu
Kisii
Nakuru
UGANDA
KENIA
NAIROBI
Makindu
ARUSHA
Longecu
MOMBASA
(TANZANIA)
Kondoa
Dodoma
Morogoro
DAR-ES-SALAAM
Iringa
Ifunda
Mbeya
Kidugala
Abercorn
(Mbala)
NDOLA
Bwana M'Kubwa
(ZAMBIA)
LUSAKA
LIVINGSTONE
SALISBURY
(HARARE)
Marandellas
Digglefold
Rusape
BEIRA
(ZIMBABWE)
ATLANTYK
OCEAN INDYJSKI
Vaal
Pietermaritzburg
DURBAN
Oudtshoorn
CAPE TOWN
30°
40°

Spis treści:

Jak zostałam komendantką Harcerstwa Polskiego w Afryce	1
Praca w Delegaturze w Nairobi	9
Praca harcerska w Tengeru	33
Posłowie	41
Przypisy	45
Kserokopie dokumentów	46
Lista kopii dokumentów	57
Wykaz fotografii	58
Mapka: Harcerstwo w Afryce w latach 1942- 1948	59
Fotografie	61



fot. 1



fot. 2



fot. 3



fot. 4



fot. 5



fot. 6



fot. 7



fot. 8



fot. 9



fot. 10



fot. 11



fot. 12



fot. 13



fot. 14



fot. 15



fot. 16



fot. 17



fot. 18



fot. 19



fot. 20

Wspomnienia spisane w 1980 r.,
a przygotowane do druku w 1997 r.

Druk: POLPRINT, 63 Jeddo Road, London W12 9EE, Tel 0181 749 0777